MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 8 WARSZAWA 19 LUTEGO 1939 R CENA NUMERU 80 GR

PO ZGONIE PAPIEŻA

URZĄD Papieża jest najwyższym w świecie. Jeżeli urząd Głowy Kościoła, Namiestnika Chrystusowego jest tak wielki, jeżeli Jego władza ma taką siłę, jeżeli przez Niego w pewnych warunkach działa Duch Święty i wypowiada ludzkości bezwzględną prawdę — to tak mała, w skali wieczności, osoba ludzka każdego, sprawującego ten Urząd, jak tylko wszelki człowiek małym wobec Boga być musi — nabiera, jeżeli chodzi o Ojca Św., w stosunkach ziemskich olbrzymiego znaczenia.

Zmarły dnia 10.II. br. Ambroży Damian Achilles Ratti, znany całemu światu, jako Papież Pius XI, został obrany Papieżem 6-go lutego 1922 r. Poprzednikiem jego był Benedykt XV, który rządził Kościołem w okresie wielkiej wojny. Pontyfikat Piusa XI przypadł także na czasy ciężkie i dla Kościoła szczególnie trudne.

Rozwijał się w tych czasach ustrój bolszewicki w Rosji i Komintern, zakładający partie komunistyczne we wszystkich prawie cywilizowanych państwach świata, oraz szerzący, drogami swych organizacyj, walkę z moralnością, religią i duchowieństwem. Wybuchły długotrwałe prześladowania Kościoła w Meksyku. Był niebezpieczny spór z faszyzmem i uciążliwy konflikt z Rzeszą Niemiecką. Przedewszystkiem zaś przyszła straszliwa rewolucja komunistyczna w Hiszpanii, gdzie agenci Moskwy rozwinęli terror antykościelny, posługujący się metodami bardziej chyba bestialskiemi, niż to było w najkrwawszych tygodniach przewrotu w Rosji. Krew męczenników jest nasieniem chrześcijan; ale ta krew zwiększa, pomnaża — i tak nadludzki, nawet w najspokojniejszych czasach, ciężar trudu i odpowiedzialności, obarczający Papieża.

A ponad to po wojnie rozpoczął się na dobre w świecie przełom, zapowiadający nową epokę historii. W państwach europejskich powiał prąd odrodzeńczej reakcji przeciwko demoliberalnym zasadom XIX w. opartym o hedonizm i rozluźniającym społeczeństwa; przeciwko życiu ułatwionemu dla przestępców i wyzyskiwaczy, które po wojnie doszło do anarchii i nędzy. Ne tem tle rozwinęły się dwa przeciwstawne kierunki, dwie koncepcje aktywizmu społeczno-politycznego: komunizm i nacjonalizm. Doszło do starć gwałtownych: w 1920 r. w Polsce, w 1922 w Italii. W 1935 w Niemczech. W 1936 w Hiszpanii... Wszystko, prócz wojny polsko-bolszewickiej, w okresie rządów papieskich Piusa XI. Wyłoniły się zagadnienia nowe, trudne, niebezpieczne, zróżnicowane, wymagające, ażeby je pojąć, niebywale świeżej inteligencji, ciągłego śledzenia przemian, wciąż nowych studiów, a na stanowisku Głowy Kościoła — proroczego bodaj natchnienia.

Pius XI miał trzy doktoraty; filozofii, teologii i prawa kanonicznego. Znał języki: grecki, łaciński, hebrajski, francuski, angielski i niemiecki, a częściowo także i polski. Miał zamiłowanie nietylko do filozofii i humanistyki, ale również do nauk matematyczno-przyrodniczych, o czem świadczy jego, ceniona przez specjalistów, rozprawa (napisana w młodości) o trzęsieniach ziemi we Włoszech. Był członkiem rzeczywistym wielu towarzystw naukowych: lombardzkiego Towarzystwa Historycznego, królewskiej deputacji historycz-

nej, rzymskiej akademii religijnej, Towarzystwa Bibliograficznego włoskiego, Towarzystwa Dantego i Papieskiej Akademii Archeologicznej. Opracował wiele poważnych dzieł nauki kościelnej i świeckiej. Był, po śmierci sławnego o. Erlego, prefektem bibioteki watykańskiej, które to stanowisko obejmuje zazwyczaj jeden z najwybitniejszych uczonych Kościoła. Sakrę biskupią otrzymał w Warszawie z rąk ś. p. kardynała Kakowskiego. W Polsce przebywał około 3-ch lat, t. j. od kwietnia r. 1918 do lutego r. 1921, jako początkowo wizytator, a potem nuncjusz apostolski na Polskę i Litwę.

Rządził w niezmiernie trudnych warunkach dziejowych. Zrozumiał ducha nowych czasów, strzegł podstaw rzymsko - katolickiej cywilizacji, skłaniał się najwyraźniej ku ruchom narodowym, z tej cywilizacji wyrosłym, w ich zmaganiach z akcją komunizmu i masonerii. Nawiązał do publikacyj społecznych Leona XIII, zwłaszcza w głośnej encyklice *„Quadragesimo anno"*. Założył Akcję Katolicką, przywracając Kościołowi Wojującemu ducha ofensywnego. Skierował energię zorganizowanych pod auspicjami Kościoła wyznawców do działalności społecznej; dążył do wyrwania świata pracy z rąk międzynarodówek marksowskich, do uzdrowienia stosunków i ustrojów gospodarczych moralnością Chrystusową. Rozbudził renesans liturgiczny wśród katolików świeckich. Dokonał pracy olbrzymiej i zasłużył, dzięki swym osobistym zaletom, na przydomek w i e l k i e g o, który Mu nadają obecnie myśliciele i działacze katoliccy, pogrążeni w żałobie.

TADEUSZ DWORAK

SEJM I DEMOKRACJA

DWADZIEŚCIA lat temu Naród, przeżywając historyczne chwile odbudowania Rzeczypospolitej, przeżył radosny akt zwołania pierwszego sejmu Polski odrodzonej. Gdybyśmy spróbowali dzisiaj zanalizować ów gatunek uczucia, przekonalibyśmy się, iż miało ono próbę wysoką: radowano się przedewszystkiem aktem wznowienia instytucji, nawiązywania do dawnej tradycji — sejm bowiem z r. 1919-go był pierwszym od czasów kilkumiesięcznej niepodległości z lat 1830—31-ch, ten znowu pierwszym od czasów smutnej pamięci sejmu grodzieńskiego, zwołanego po wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1792-gim, wojnie będącej konsekwencją reform sejmu wielkiego z lat 1788—1791.

Radowano się też z tego powodu, iż sejmowi przekazywano zadania doniosłe: budowania, wzmacniania życia Rzeczypospolitej, dania Jej zrębów trwałego ustroju, konstytucji. Nie wyobrażano sobie, ażeby ustrój mógł być inny, aniżeli demokratyczny, żywiono przecież uczucia szczerych, niekłamanych sympatii dla „Wielkich Demokracji Zachodu", które zdołały powalić potęgi niemieckie zbudowane — jak mawiano wówczas — na „feudalnych jeszcze zasadach". W ustroju demokratycznym Francji, Anglii, Włoch oraz Stanów Zjednoczonych widziano jedną z przyczyn zwycięstwa.

Analizujmy dalej: w demokracji prawica ówczesna widziała sposób na pohamowanie zbyt radykalnych, grożących dziełu odbudowania państwowości zapędów reformistycznych lewicy, ta z kolei w demokracji widziała ostoję swego rozwoju. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, iż zdobywaliśmy swój pierwszy w odrodzonem państwie sejm u schyłku panowania zasady demokratycznej, pognębionej właśnie w okopach, gdy całe narody ujęte w karby hierarchii wojskowej nabrały instynktów karności, porządku, umiejętności rezygnowania ze swego indywidualnego „ja" na rzecz pozaosobowych celów, idei, które wiązały z imieniem swojej ojczyzny.

Pierwsze otrzeźwienie z entuzjazmu demokratycznego nastąpiło w dniu 26-ym stycznia, roku 1919-go, w dniu wyborów, które ukazały przyszłą izbę poselską jako ciało zbiorowe, rozbite na szereg stronnictw, bez wyraźnej większości, co się fatalnie odbiło szczególnie czasu debat nad konstytucją, będącą owocem kompromisu, więdnącym nad podziw szybko.

I tu nie sposób nie zanotować zjawiska wielce charakterystycznego: ów wymarzony sejm konstytucyjny, jedna z naczelnych instytucyj Rzeczypospolitej, przejaw demokracji uwielbianej przez wszystkich, dostał się odrazu na ząb satyry najostrzejszej a wyśmiewano w nim nic innego, tylko wszelkie jego cechy... demokratyczne. Irytowano się przerostem interesów warstw socjalnych, interesów niektórych grup politycznych, interesów partykularnych nad interesem Narodu, dalej niskim poziomem umysłowym, kulturalnym, wybranych posłów, irytowano się niewykwintnymi manierami obrad. Satyra przedostała się nawet do piosenki żołnierskiej. Przypomnijmy sobie słowa owych nad wyraz dowcipnych zwrotek, które tłomaczyły, że „reformacja rolna, to jest Polska wolna..." Żołnierze z jakąś najmilszego gatunku szelmowską miną śpiewali je, idąc ulicami Warszawy, a tłum o mało z radości nie klaskał w dłonie.

Walka z demokracją zaczęła się o wiele wcześniej, aniżeli się do tego przyznano. I rzecz może najdziwniejsza: walkę tę podjęły dwa zwalczające się wzajem ośrodki — nacjonalistyczny w imię niesformułowanej zasady, że demokracja jest negacją narodu oraz człowiek, który jeszcze w latach 1923—26 nazywał siebie ośrodkiem stronnictw lewicy — Piłsudski.

Napozór zjawisko niezrozumiałe zupełnie. Postawę obozu nacjonalistycznego wytłomaczyłem przed chwilą jednem zdaniem, z jakich jednak powodów poczuł odrazę do demokracji, szczególnie zaś do jej przejawu: parlamentu, opartego na pięcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej, Piłsudski, człowiek, który jeszcze w urzędowych enuncjacjach z r. 1918-go zwracał się do premiera Świeżyńskiego *per* „pan", do premiera zaś Moraczewskiego per „towarzyszu" a w kilkanaście lat potem mówił z nieukrywanym wstrętem o „ślabowanych portkach"? Odpowiedź jest jedna — dla Piłsudskiego, posiadającego instynkty dyktatorskie, demokratyczny parlament był kulą u nogi. Już z pierwszym sejmem spór toczył niejeden, z tych ów jeden latem roku 1922-go o skali bardzo poważnego przesilenia.

Sejm drugi, wybrany na podstawie nowouchwalonej konstytucji „języczkiem uwagi” uczynił potężny blok mniejszości narodowych wrogo poprostu nastawionych do państwowości polskiej. Już pierwsze miesiące pracy nowych izb, zrodziły myśl koniecznej reformy ze strony obozu narodowego. Dla urzeczywistnienia tych zamierzeń poczyniono starania, uwieńczone powodzeniem, stworzenia większości polskiej. Większość ta jednak została rozbita. Druga próba, podjęta wiosną roku 1926-go unicestwiona znowu została zamachem dokonanym właśnie przez Piłsudskiego.

Piłsudski niebezpieczeństwo sejmu widział nie w jego strukturze, ale w przeroście uprawnień owej „wszechwładzy”. Pozostał na tyle demokratą, iż nie był zasadniczo przeciwny obowiązującej pięcioprzymiotnikowej ordynacji, chciał tylko aby sejm popierał jego koncepcje polityczne. I tak roku 1928-go rozpisano wybory bez zmiany ordynacji, które wprawdzie dały obozowi pomajowemu sukces, nie przyniosły mu jednak większości. W roku więc 1930 rozwiązano izby ustawodawcze, rospisując nowe wybory także na zasadzie starej ordynacji, ale z przygotowaną koncepcją zwycięstwa. Reforma ustroju formalna, ponowiona zresztą po pierwszej niedudanej próbie, a co za tem idzie reforma parlamentu oraz ordynacji wyborczej przyszła dopiero w lat kilka potem, u schyłku życia Piłsudskiego.

Zarządzone na podstawie nowej już ordynacji wybory roku 1935 nie znalazły oddźwięku w społeczeństwie. Rozwiązano też izby przed ukończeniem kadencji, rozpisując w roku ubiegłym nowe wybory do sejmu i senatu, zadaniem których ma być ich własna reforma...

Tak więc w dwudziestolecie otwarcia pierwszego sejmu Rzeczypospolitej stoimy wobec zadania, które podjął ów sejm pierwszy — stworzenia podstaw dla trwałego ustroju, zapewniającego silne rządy całego Narodu. Czy stąd wniosek, że nie posunęliśmy się od tamtych chwil ze stycznia i lutego 1919-go ani o krok nawet?

Nie. Mamy za sobą dwadzieścia lat doświadczeń, przemian ideowych, idących po linii wskazanej przez nacjonalizm, znamy też poważne wyniki ewolucji myśli nacjonalistycznej, mamy absolutną pewność całkowitego zwycięstwa tej koncepcji.

Czujemy szacunek dla instytucji sejmu przedewszystkiem, jako dla instytucji mającej za sobą całe wieki istnienia, jako historycznego pomnika.

Czujemy szacunek dla insytucji sejmu jako dla instytucji mającej być odbiciem opinii Narodu i jednym z narzędzi jego woli.

Ale już wiemy, że na hasło: „s e j m” nie koniecznie odzewem ma być: „d e m o k r a c j a”. I ze świadomości tego musimy wyciągnąć konsekwencje.

J. BA.

DOKOŁA WORCELLA

(C. dalszy)

PRZYPOMNIAŁEM jak to dla Komitetu Narodowego okrojenie Węgier przedstawiało się, jako ciężka konieczność polityczna. Komitet podzielał zdanie Dmowskiego, że niebezpieczeństwo niemieckie po pewnym czasie wróci, i że trzeba się na to przygotować. To jest największy obowiązek Polski wobec samej siebie, obowiązek, który dawna Rzplita zaniedbała (i przez to zginęła); Polska odrodzona tego śmiertelnego zaniedbania popełnić już nie powinna. Węgry były narzędziem polityki niemieckiej, przedewszystkiem dla tego właśnie, że we własnem państwie Madziarzy stanowili tylko nieco więcej nad połowę ludności.

Ale Worcell..... Wiem, Worcell powiada, że Madziar, czy Słowak, Rusin, Rumun czy Niemiec uważali się za synów jednej Ojczyzny, za Węgrów. I p. Frycz mówi o koniecznościach geograficznych i historycznych. Geograficznie Węgry nie stanowiły takiej wybitnej jedności, jak Czechy; historycznie, istotnie, tylko Chorwacja musiałaby być odrębnie traktowana. Worcell i p. Frycz traktują naród węgierski, jako pojęcie państwowe. I to można przyjąć, tylko że tu zaczęło się psuć dość dawno.

Jako młody chłopiec zaczytywałem się dwiema wybornemi powieściami M. Jokay'a: „Aż do śmierci” (o powstaniu Rakoczego) i „Poruszymy z posad ziemię”. Zanim dostałem do rąk zabronione w Królestwie książki o Polsce, poiłem się patriotyzmem bijącym z tych książek węgierskich. W drugiej z tych książek jest dramatyczna scena, którą pamiętam do dziś. Rzecz dzieje się w pierwszej połowie 19 wieku. Młody i zapalony patriota węgierski rozmawia z namiestnikiem Królestwa, także patriotą węgierskim, którego chce przekonać o potrzebie wprowadzenia języka węgierskiego do urzędowania w kraju, popierania literatury węgierskiej, tworzenia teatru narodowego... Na gorące wywody młodego, dostojnik odpowiada mniej więcej takim argumentem: póki na Węgrzech urzędowym językiem jest łacina, a dwór trzyma się swej niemczyzny, wszyscy Węgrzy są w jednakowem położeniu, czują się równi, nikomu nie dzieje się krzywda. Sprobujcie wprowadzić język węgierski. Wtedy Chorwaci będą się domagali praw dla języka chorwackiego, Rumuni dla rumuńskiego, Niemcy dla niemieckiego, Słowacy dla słowackiego... Co się stanie z jednością Królestwa Św. Stefana? Trzeba przyznać, że przed wojną była znaczna niechęć, czasami nienawiść do Madziarów, których panowanie było twarde. Ale to tylko uwaga mimochodem; zamykam nawias i podejmuję tok rozumowania.

W tej części Europy granic państwowych nie można przeprowadzić w zupełnej zgodzie z etnografią. W Polsce pozostało kilkaset tysięcy Niemców, dwa razy tyle Polaków żyje w Rzeszy. Węgry związały swój los z Niemcami, razem z niemi przegrały wojnę i musiały ponieść konsekwencje. Jeżeli przy tem, jako słabsze, zostały nieraz pokrzywdzone, to jedna rzecz była nietylko niesprasprawiedliwością, ale i ciężkim błędem: oddanie Czechom Rusi Podkarpackiej. Ale było oczywiste, że Węgry będą należały do obozu rewizjonistycznego, więc będą związane z Niemcami; że w razie odzyskania utraconych obszarów, będą znowu miały u siebie poważne mniejszości i z tego powodu będą znowu oglądały się na Niemcy; że

wreszcie w tym samym kierunku ciągnąć będzie Węgrów długa tradycja polityczna.

Całe społeczeństwo polskie wspaniale jednolitą postawą dowiodło, że przyjęłoby z radością odzyskanie przez Węgry Rusi Podkarpackiej, więc przywrócenie wspólnej granicy; można też było się zgodzić na poprawienie granicy węgiersko-słowackiej w duchu sprawiedliwego uwzględnienia interesów obu narodów. Ale jakże daleko stąd do przypuszczenia, że Węgry mogą Polsce zastąpić Czecho-Słowację, te Węgry, które nawet odzyskawszy znaczne obszary, niewątpliwie nie wyrzekły się Słowacczyzny, tak, jak nie zapomną pewnie o swych pretensjach względem Rumunii i Jugosławii, co znowu może je skłaniać do oparcia się o Niemcy. Z drugiej strony, teraz, gdy Niemcy bezpośrednio, a przez Czecho-Słowację pośrednio sąsiadują z Węgrami, nacisk niemiecki na Węgry jest tak silny, że musiały się one cofnąć w sprawie plebiscytu na reszcie Rusi Podkarpackiej. Dodajmy do tego, że w obecnych granicach Węgier mieszka przeszło pół miliona Niemców; zobaczymy, czy będą się czuli patriotami węgierskiemi, mówiącemi po niemiecku, czy też staną się narzędziem polityki sudeckiej i nowego nacisku na Węgry. Wziąwszy wszystko razem: czy Węgry choćby chciały, będą mogły? Czy nie czeka ich taki nacisk, jaki odczuwa Czecho-Słowacją? Łatwo mówić o budowaniu systematu jagiellońskiego, nie licząc się z przeciwdziałaniem niemieckiem. Robić tę politykę łatwiej było przed rozbiorem Czecho-Słowacji, niż teraz.

P. Frycz pisał (M. N. nr. 48), że „w interesie Polski leżało wyrwanie Węgier z orbity niemieckich wpływów... wreszcie powiązanie Rumunii tylko z sobą". Jeżeli Polska miała pozyskać Węgry dla swojej polityki, to mogła to uczynić jedynie, pozostając w dobrem porozumieniu z mocarstwami zachodniemi: Francją i Anglią. Co więcej, można zaryzykować twierdzenie, że sprawa zwrotu Węgrom Rusi Podkarpackiej, przy najbardziej sprzyjających okolicznościach, mogła być pomyślana tylko w tych warunkach. I tu przechodzę do spraw Rumunii.

Dmowski mówił to nieraz i napisał w swojej „Polityce polskiej", że pewien dyplomata rumuński gotów był wyznaczyć konkurs z wysoką nagrodą dla tego, ktoby wskazał jakąś sprawę sporną między Polską a Rumunią. Tak było długi czas, tak już nie jest dzisiaj: nawet i te stosunki potrafiliśmy zakłócić. Rumunię wszystko wiąże z Polską, póki idą w pewnym kierunku. Ale Polska nie mogła łudzić się, że potrafi związać Rumunię tylko ze sobą, i to niezależnie od kierunku, w którymby iść zechciała. Interesy Rumunii i Polski są zupełnie solidarne, ale polityka polska nie koniecznie musi postępować w myśl tych interesów; Rumunia ma swoją koncepcję polityki zagranicznej; zadanie przymierza polega na tem, żeby się porozumiewać, uzgadniać, uwzględniać wzajemnie interesy obu stron. Na bloku polsko-rumuńskim nie było znać żadnych pęknięć, póki oba państwa pozostawały w porozumieniu z mocarstwami Zachodu. Gdy Polska zaczęła prowadzić swoją „niezależną" politykę, Rumunia musiała się od niej oddalić; nasze zbytnie naleganie w kierunku „usamodzielnienia się" Rumunii od Zachodu wywołało nieznane tam dawniej uczucia niechęci. A przecie jest jasne, że gdyby Rumunia dostała się w orbitę wpływów niemieckich, musiałaby znowu zwrócić się przeciwko Polsce, jako jedno z ogniw niemieckiego systemu politycznego.

U Dmowskiego także czytamy ciekawą wiadomość: „Rumuni skarżyli się, że ze strony polskiej proponowano im alians polsko-rumuńsko-węgierski!" (Wykrzyknik należy do Dmowskiego). „Są ludzie — pisał — którym się zdaje, że sprawami polskimi inaczej i lepiej od nas pokierują. Życie w końcu zmusiło do nawrócenia na właściwą linię, ale co te dziecinne próby Polskę kosztowały.... W najlepszym razie wiele lat trzeba będzie, żeby zło odrobić... Czy wobec tego można się dziwić, że wszystko, co się stało — od powstania Polski — w dolinie Dunaju, działo się tak, jakby Polska wcale nie istniała". I znowu: nawet jeżeli ta koncepcja była możliwa, to jedynie w porozumieniu z państwami Zachodu. Mądra, cierpliwa polityka i sprzyjające okoliczności — oto warunki powodzenia. Natomiast było pewne, że to się nie da zrobić nigdy przeciwko Zachodowi i z Niemcami. Rozbiór Czecho-Słowacji pozwolił Niemcom wejść w sam środek państw leżących między morzem Bałtyckim, Czarnem i Adriatyckiem. Polityka polska wszędzie teraz może i będzie napotykać przeciwdziałanie Niemiec, i p. Frycz to widzi (M. N. nr. 51): „Obalenie Czecho-Słowacji postawiło nas w niesłychanie ciężkiem położeniu... Polska na międzymorzu absolutnie nic nie znaczy..." Przed Polską leży dziś ogromne zadanie cierpliwego, mozolnego organizowania nowego układu politycznego Europy. Aby je spełnić, musi ona powrócić do zasadniczych linij polityki Dmowskiego.

V

Cudaczny twór „Karpato-Ukrainy", nie odpowiadający żadnej zasadzie politycznej, na które powoływał się kanclerz Hitler przeciwko systemowi wersalskiemu, żadnej zasadzie wersalskiej, żadnej oficjalnej zasadzie Ligi Narodów, nie odpowiadający poprostu niczemu, będący nonsensem geograficznym, historycznym, etnograficznym, gospodarczym, komunikacyjnym, może być zrozumiany tylko i wyłącznie jako otwarte posunięcie „zaprzyjaźnionych" Niemiec, polityczne, a w przyszłości i strategiczne, przeciwko Polsce. To widocznie było tak ważne, że pogwałcono w tym celu interesy zaprzyjaźnionych Węgier, kazano im się pogodzić z dyktatem monachijskim, byle okrążyć Polskę i trzymać ją w szachu: tyleśmy otrzymali w zysku za wytrwałe popieranie polityki niemieckiej. Jest się nad czem zadumać...

Teraz występuje sprawa planów niemieckich względem Rosji i myśl utworzenia wielkiego państwa ukraińskiego. Państwa takiego nigdy nie było, nie ma historycznego narodu ukraińskiego, i dlatego parę słabych niesamodzielnych prób stworzenia Ukrainy zakończyło się żałosnem fiaskiem. Ale państwo takie mogliby próbować stworzyć Niemcy. Jak? Czy korzystając z „Karpato-Ukrainy", jako podstawy operacyjnej? Przez Bukowinę, czy przez Wschodnią Małopolskę? W wojnie z Polską, przy próbach robienia ruchawki w Małopolsce? To mało prawdopodobne. Tembardziej, że obronnej siły Rosji w każdym razie nie trzeba lekceważyć. Natomiast z wystąpień niektórych publicystów możnaby wnioskować, że te plany rozbioru Rosji mogłyby być wykonane przy współudziale Polski. P. Bocheński taki plan uza-

sadnia, dodając, że wobec nieufności opinii publicznej względem Niemiec dziś przedwcześnie mówić o przemarszu wojsk niemieckich przez Polskę. P. Mackiewicz pisze nawet o „demembracji Rosji według planów w Polsce opracowanych”. Wszyscy zwolennicy tego *grand dessein* każą Polsce zgóry dawać zaliczkę na ów plan, w postaci tworzenia Piemontu ukraińskiego w Polsce, kosztem zaprzepaszczenia reszty żywiołu polskiego w Małopolsce Wschodniej i wyrzeczenia się wspólnej granicy, już nie tylko z Węgrami, ale z Rumunią. Gdzie ta mocarstwowość? Ta jagiellońska polityka? Etnograficzni Rusini w Czecho-Słowacji, na Węgrzech, w Rumunii, w Polsce i w Rosji. Rosja będzie walczyła do ostatka. Rumunia musiałaby ponieść ciężką klęskę, żeby jej można było odebrać Bukowinę i Bessarabię. Czyżby jedna Polska miała przykładać rękę do realizacji planu, który całą siłą zwraca się przeciwko niej?

Kiedy koło dziesięciu lat temu zaczęły po kraju krążyć pogłoski o możliwej wojnie z Rosją, Dmowski mówił: „Gdyby to miało się sprawdzić, to trzeba będzie wyjść na ulicę. Do tej wojny nie wolno nam dopuścić”. To była postawa człowieka żywo czującego odpowiedzialność swoją i każdego Polaka za politykę i losy kraju.

Worcell pisał swoje artykuły właśnie w okresie, kiedy 80-tysięczna armia rosyjska namiestnika Paskiewicza przekroczyła Karpaty, by stłumić powstanie węgierskie, a ostatni — ogłosił na dwa tygodnie przed złożeniem broni pod Vilagos. Mimo, że państwem, które wtedy ciążyło nad Europą, była Rosja, uwaga jego zwrócona jest na germanizm prący na wschód, przedewszystkiem ku ujściom Dunaju... W Polsce zaś tak nieustannie powtarzano utarte formułki, według których najgroźniejszym wrogiem naszym jest Rosja, że dopiero trzeba było wielkiej rewizji pojęć przez Dmowskiego dokonanej, żebyśmy przetarli oczy, i najgroźniejsze niebezpieczeństwo dojrzeli w Niemczech. Ta świadomość i wynikająca z niej polityka dały nam w rezultacie odbudowane państwo. Jeżeli Dmowski nam ukazał Rosję w nowem położeniu, wynikającem ze zmiany stosunków politycznych świata (związanie Rosji na Dalekim Wschodzie, decydujące osłabienie bodźców, które ją pchały na Zachód), to obecnie stosunki poszły jeszcze dalej w tym kierunku; silna Rosja może się stać bardzo potrzebną Europie. Jednem z najskuteczniejszych narzędzi opanowania Rosji przez Niemcy była nasza antyrosyjska polityka, (dlatego skwapliwie przez Niemcy popierana); dzięki Dmowskiemu to się urwało przed wojną światową; teraz wzięcie udziału w jakiejkolwiek formie w planach niemieckich, skierowanych przeciwko Rosji, uniemożliwiłoby nam znowu na bardzo długo spokojne stosunki z Rosją, a może nawet umożliwiło porozumienie Niemiec i Rosji naszym kosztem: wrócilibyśmy znowu do dawnego położenia, jak żona rybaka z bajki do rozbitego koryta.

Dziś nie Rosja wisi nad Europą, jak chmura gradowa, lecz Niemcy. Rosja potrzebuje spokoju od zachodu, a ten dać jej może Polska, bo tylko z Polską możliwa jest polityka rozbioru Rosji. Nas z Rosją sowiecką ideowo nic nie łączy, wszystko dzieli, ale politycznie musimy zachować poprawne stosunki z krajem, w którego wewnętrzne sprawy nie możemy się mieszać; w przyszłości, z Rosją odmienioną, stosunki mogą nawet stać się dobre; ale nie jest niemożliwe, że wobec tej Rosji Polska odegra dużą, płodną w następstwa rolę. Kto wie, czy jednym z błędów Czecho-Słowacji nie było także i to, że chciała zarezerwować dla siebie wyłączny monopol d o b r y c h stosunków z przyszłą Rosją?

Polska nie może przykładać ręki do planów przeciwrosyjskich, ani pozwolić narzucić sobie posunięć w dziedzinie, która wyłącznie do niej należy: stworzenia jakiegoś autonomicznego obszaru ukraińskiego na terenie swych województw południowo-wschodnich. Wiemy, że takie były przed 20 laty pomysły i zamierzenia, przedewszystkiem żydowskie; zostały przekreślone i zapomniane. Miałyżby teraz odżyć? Mielibyśmy, krając ziemię polską jak postaw sukna, przygotowywać budowę państwa, które nie byłoby ukraińskiem inaczej, jak będąc niemieckiem? Z którejkolwiek tedy strony spojrzymy, musimy przyjść do przekonania, że interes polityczny Polski, narodowej i katolickiej, każe nam zachowywać poprawne sąsiedzkie stosunki z Rosją, mimo że jest komunistyczna, internacjonalistyczna, antyreligijna, żydowska. Tak mądra polityka kazała antychrześcijańskim królom Francji łączyć się z Turcją przeciwko katolickiej Austrii, a nasz Paweł Włodkowic na soborze w Konstancji, pół tysiąca lat temu, dowodził w zgodzie z nauką Kościoła, że kraj chrześcijański w wojnie prawej może korzystać z pomocy pogan.

BOHDAN WINIARSKI

(D. c. n.)

JAKIM BYŁ RUSZCZYC

...TU JEST zatem miejsce[1]) na zastanowienie się, jakim był ten, który nadał Wilnu swe piętno, i stworzył w niem epokę własnego imienia.

Jest rzeczą już chyba niesporną, że imię Ruszczyca zostało związane z Wilnem nazawsze i że okres ten w dziejach naszej ziemi będzie nazwany epoką Ruszczycowską. Po Wilnie Zygmuntowskiem przyszło Wilno Mickiewiczowskie, już pozbawione przez niewolę splendoru zewnętrznego, ale poczęte z ducha i mocne jego wielkością. Po Wilnie Mickiewiczowskiem — Wilno Ruszczycowskie będzie miało w historii kartę niemniej zaszczytną i trwałą.

Nie wszystko daje się uwidocznić w opowiadanych wydarzeniach. Pozostają spostrzeżenia luźne nad osobą i charakterem Ruszczyca, czynione w ciągu wiele lat, ale nie dające się zilustrować faktami konkretnymi. Myślę, że powinienem tu dać im wyraz i spróbować jeszcze raz opisać Ruszczyca, tak, jak on mi się ukazuje w toku wspominania. Będzie to może chaotyczne i sucho rejestrujące, ale pożyteczne dla całości obrazu,

[1]) Wyjątek z księgi ilustrowanej p. t. „Ferdynand Ruszczyc”, której druk zbliża się do końca. Książka będzie zawierała przeszło 400 stronic i do 300 ilustr. Red.

Ruszczyc był w mojem życiu zjawiskiem olśniewającem jak słońce. Budził radość widokiem swego istnienia i nieustanną chęć uświadamiania sobie tej radości. Budził podziw, którego nie mogła nigdy zmniejszyć obserwacja spokojna i obiektywna, pomimo, że na nią miałem dwadzieścia kilka lat czasu. I dziś, choć już odszedł, jest mi ciągle świetliście przytomny. Widzę go i czuję wokoło siebie i w sobie, a rozpamiętywając jego życie, pragnę opowiedzieć jaknajwięcej innym, jakim był ten człowiek przedziwny.

Więc najpierw — cechy ogólne. W nich na pierwszy plan występuje wielka, niezwykła dobroć. Nie ta pasywna, co ma źródło we flegmatycznym egoizmie i niezainteresowaniu, lecz dobroć czynna, chrześcijańska, wynikająca z własnej dobrotliwej mocy, ze stosunku uważnego i serdecznego do wszystkiego, co żyje, myśli i czuje. Ruszczyc wierzył w boskość natury ludzkiej i dostrzegał w ludziach przedewszystkiem to, co w nich było najlepszego. Był pobłażliwy i wyrozumiały, instynktownie stroniący od brzydoty i złości. Egoizm, chciwość i bezserdeczność, jeśli mu się kiedy narzuciły, sprawiały mu ból i wstyd, jakgdyby sam był za nie odpowiedzialny. Nie karcił, nie potępiał ludzi — żałował ich i litował się nad każdym. Bezinteresowny w najwyższym stopniu, nie dbał o korzyści materialne, miał hojną rękę dla biedoty, a w stosunku do wszystkich gest szeroki i wielkoduszny. Nie podejrzewał w nikim intencyj niskich, skłonny był tłomaczyć motywy postępowania z lepszej strony, bo mówienie źle o ludziach sprawiało mu przykrość najwyższą. Nawet wtedy, gdy się boleśnie na kim oparzył, wolał milczeć, niż osądzać. Ludzi notorycznie podłych lub marnych określał jednem jakiemś słowem i to wcale nie kwalifikującem, raczej przenośnią, skrótem, symbolem obrazowym. Czynił to nawet samą intonacją głosu przy wymawianiu nazwiska, podkreślając je w sposób specyficzny, nie poddający się opisaniu. W jego mowie wszystko było sprawą odcieni, półtonów i ledwie dostrzegalnych napomknień. Trzeba było mieć ostry słuch estetyczny i moralny, żeby odrazu zrozumieć jego intencje i nie wytworzyć dysonansu. Intencyj swych nie lubił tłumaczyć wyraźnie, pełen wstrętu do stawiania kropek nad „i”, i to nawet wtedy, gdy mu zależało na tem, by być należycie zrozumianym. Ta powściągliwość w oznakach zewnętrznych wynikała z wrodzonej wstydliwości natury czującej i czujnej, nie z oschłości: w sobie był pełen uwielbienia dla piękna duszy ludzkiej, prawość, szlachetność budziły w nim wysoką cześć, przewyższającą może nawet zachwyt artysty nad fizycznem pięknem przyrody i człowieka. Umiał zresztą doskonale łączyć te dwa odczucia w jedno, rozumiejąc, jak nikt greckie *„kaloskagatos”*.

W mówieniu o sobie i o swoich pracach był również powściągliwy, bo nie cierpiał afektacji i samochwalstwa. Wolał wypowiadać się obrazem, niż słowem. Uważał słowo za narzędzie tępe, pochopne do fałszu, choćby nieumyślnego. Mniemał, że artysta-plastyk nie powinien dopowiadać słowem swego świata wewnętrznego, bo słowo posługuje się ogólnikami, niezdolnemi do cieniowania. Słowo nie jest w stanie oddać piękna najwyższego, które jest niewypowiedzialne. Uczucie, wzruszenie, błysk natchnienia, są mocne i czyste tylko dopóki nie są ujawnione słowem. Więc malarz powinien milczeć, nie precyzować, zachować w sobie nietkniętym dziewiczy świat piękna i dawać o nim tylko barwne sugestje, plastyczne napomknienia. Była to wstydliwość męska, nie obliczona na efekt, prawdziwie wewnętrzna.

Obejście Ruszczyca było nacechowane naturalnym wdziękiem o własnościach poprostu fascynujących: wdzięk ten czynił go bezwiednie miłym każdemu, kto się z nim zetknął. Ruszczyc umiał mówić ludziom rzeczy przyjemne i zajmujące bez zniżania się do płycizny banalnych komplimentów. Humor i dowcip miał przedni: słowo jego iskrzyło się i perliło, jak wino szampańskie, mieniło się, jak tęcza, lśniło, jak promień wiosenny, obfitowało w nieoczekiwane pointe'y, trafne porównania, obrazowe metafory, zawsze samorodne i niemożliwe do naśladowania. A przy tej odrębności krańcowej, nieledwie zuchwałej, słowo jego pozostawało taktowne, delikatnie cieniowane, zważające ostrożnie, by komuś nie sprawić przykrości, nie urazić zbytecznem naciśnięciem pedału, nie posunąć się o krok zablisko. Ruszczyc był mistrzem w rozmowie żartobliwej, okraszonej lekkością i wdziękiem, wolnej od pedantyzmu, a mimo to bogatej w treść poważną. Był w tem genialnie obdarzonym wirtuozem, prawdziwym królem życia, czerpiącym te szczęśliwe własności z wielkiego talentu, z dobroci serca i z jasności swej promiennej duszy.

Względem kobiet był wysoce rycerski, a wykwintne formy obcowania jeszcze podnosiła jego artystyczna natura. Rycerskość była wynikiem nie tylko starannego wychowania, ale wypływała z jego wewnętrznej postawy artystycznej. Czcił w kobiecie dostojeństwo macierzyństwa i wierność siostrzaną, nawykły w całem życiu do tkliwej przyjaźni z własną matką i do serdecznej zażyłości z rodzeństwem. Klękał przed kapłanką domowego ogniska i rad widział na jej skroniach wieniec kobiecego majestatu. Wiedział, jak niedaleka jest droga w sercu najzwyklejszej kobiety do szczytów poświęcenia i bohaterstwa. Nie Afrodyta, lecz Pallas Atene, Kora, Demeter, królowa Jadwiga były postaciami, przed któremi pochylał czoło.

Wolał kobiety Boticellego i prerafaelitów angielskich, niż Tycjana i Rubensa, a chociaż rozmiłowany po rzeźbiarsku w pięknie cielesnem, wielbił w niem nietyle lato, ile wiosnę życia. Był zakochany w młodzieńczych i dziewczęcych zjawach z kościoła św. Piotra na Antokolu, niemiał z zachwytu przed ich żywem wcieleniem, gdy napotkał młodość i dziewiczość, jak pączek kwiatu nieświadome swego wiośnianego czaru. Wobec urody kobiecej czuł się średniowiecznym trubadurem, gotowym do hołdu bezinteresownego, a smutniał i odchodził, jeśli tę jego postawę zlekceważono i sprofanowano przez niezrozumienie. Mawiał czasem z goryczą, że kobiety mają takich wielbicieli, na jakich zasługują w swych ukrytych intencjach, gdy wolą — poruczników niż rycerzy. Porównywał miłość do pięknie ukwieconej rośliny, z której można czerpać zarówno ożywcze leki, jak zabójczą truciznę. Rozczarowania jakie mógł napotykać w młodszych latach nie zmniejszyły w nim czci i uwielbienia dla kobiety: młodość jej podziwiał, jak cudowne misterium rozkwitania, w dojrzałości upatrywał świętość macierzyństwa,

a wiek podeszły szanował, jak drzewo, co zamknęło pod swą korą wieczną tajemnicę życia.

Był grzeczny i uprzejmy po pańsku, to jest dla wszystkich jednako, bez mieszczańskiego interesownego różniczkowania. Pamiętał bacznie, by oddać każdemu powinne atencje, a ludzi szanował podług ich rzeczywistej wartości, nie podług kieszeni i wpływów. Dbał o dopełnienie wszystkich form i oddanie należnych względów nie tylko obcym, ale i swoim, bo w formach zewnętrznych upatrywał akty woli i dopełnienie powinności. W rodzinie obejście jego przy prostocie i swobodzie odznaczało się delikatnością i serdeczną uwagą. Dawał przykład, że poufałość nie wyłącza umiaru i nie powinna przeradzać się w szorskość i natręctwo. Z sąsiadami na wsi żył na stopie równej i przyjaznej, jeździł do nich w odwiedziny, przyjmował u siebie wszystkich jednako gościnnie i z taktowną uprzejmością, prowadząc rozmowy na tematy, które zajmowały nie jego, lecz stronę drugą. W mieście, w stosunkach z obcymi był wzorem dobrego wychowania i wytwornej towarzyskości, choć i tu musiał często przebywać w świecie pojęć i upodobań, dalekich od własnych. Słowa „wypada", „należy", „godzi się" były dla niego niewzruszonemi nakazami i to nakazami sumienia, nie konwenansu. Nie zaniedbał żadnego dowodu pamięci i grzeczności, choćby chodziło o bonę lub ochmistrzynię, a ze służącym lub woźnym rozmawiał równie przyjacielsko, jak z kolegą z Wydziału.

Ruszczyc pouczał całem życiem, że człowiekiem prawdziwie wolnym jest ten, kto sam sobie rozkazuje i sam pierwszy poddaje się przymusom przez siebie uznanym. Stąd również pochodziła jego rzetelna koleżeńskość w stosunku do innych artystów, oparta nie na poczuciu solidarności fachowej, lecz na poszanowaniu idei sztuki i braterstwa jej wyznawców. Jego trzynastoletnia praca na Wydziale Sztuk Pięknych jest jednem pasmem dowodów tego braterstwa artystycznego. A było ono posunięte tak daleko, że z jego przychylności korzystały nawet żydowskie ugrupowania malarskie w Wilnie, pomimo swego niewysokiego poziomu i niezbyt ciepłych uczuć dla polskiej państwowości. W każdym artyście widział towarzysza, mającego prawo do jego względów i pomocy. Nie skąpił swej przychylności nawet tym, którzy jej nadużywali, lub powodowali się nietyle sympatią, ile własnym interesem. Kiedyś spytano Ruszczyca, jako rzeczoznawcę „czy pani X dobrze maluje?" a pytał ktoś z bliskich pewnej malarki, obdarzonej większem uczuciem, niż talentem. „No, tak — odrzekł Ruszczyc najeżony i skonfundowany — kiedy maluje, to pewnie, że dobrze". Miał bardzo wysubtelnione poszanowanie cudzej osobowości. Jeśli już musiał coś zganić w sztuce, czynił to oględnie, jakby na marginesie, choć dowcip miał ostry i nadzwyczajnie cieniowany. Raz patrząc na dość kiepską rzeźbę znanego autora, przedstawiawiającą posła do Dumy rosyjskiej, Nakoniecznego, mruknął nawpół sam do siebie: „No, ten Nakonieczny — to niekonieczny". Ale ja to posłyszałem i zapamiętałem.

Odznaczał się żywiołowym optymizmem, którego zaćmić nie potrafiły nawet potworności czasu wojennego i doznane wówczas udręczenia osobiste. Był to optymizm czynny, pełny twórczego rozmachu, płynący zarówno z fizycznej żywotności, jak entuzjazmu pracy i przyrodzonej dobroci serca. Obcy wschodniemu cierpiętnictwu i posępności, był naturą jasną, stworzoną do uśmiechu i do czynnego kształtowania życia. Miał duszę równie wspaniała, jak powierzchowność, trzeba było wiele, by ją schmurzyć i to nie na długo — zaraz rozpogadzał się znowu, czerpiąc nadzieję i ochoczość z głębi swego duchowego męstwa. Miał umysł przenikliwy i wolę mocną, umiał organizować, kierować, podporządkowywać sobie wole i osobowości inne nie przymusem, lecz przykładem czynów własnych i promieniowaniem swego temperamentu, swojej wiecznej młodości. Widział rzeczy nie jednostronnie i ułamkowo, lecz ujmował je całościowo, w ich istocie zasadniczej. Uniwersalność ta wynikała z jego uzdolnień, rozwiniętych bardzo harmonijnie, a te sprawiały, że nic z tego, co ludzkie, nie było dlań obce. Umiał spojrzeć na każdy objaw życia inaczej, gruntowniej, niż ludzie przeciętni i dopatrzeć się w nim strony lepszej i piękniejszej. Jak skrzypce, odzywające się na pokrewne sobie dźwięki, miał zdolność reagowania na to, co żywe, godne i szlachetne, choćby było głęboko ukryte i niewidoczne. Dopiero przy nim i przez niego spostrzegało się nieznane, niewidziane dotąd piękno fizyczne i moralne. Odsłaniał je łatwo i przystępnie, nieraz mimowoli, jak słońce, które upiększa i rozjaśnia świat, gdy wyjrzy z za chmur. Miał pociąg do wielkości i bohaterstwa i tę atmosferę heroiczną roztaczał w swojej twórczości i w swych oddziaływaniach życiowych. Obcowanie z nim wzbogacało i wywyższało duchowo.

Rozmaitość jego zainteresowań i zatrudnień była tylko pozorna. W jego umyśle konstruktywnym i zrównoważonym wszystko miało związek konieczny, choć hierarchicznie stopniowany, wszystko uzupełniało się i stawało materiałem jednolitym, służącym do wznoszenia przez całe życie jednej tylko świątyni. Ład życia wynikał z budowy charakteru równie doskonałej, jak zestrój kompozycyjny jego obrazów. W budowie tej znaczyły nietylko wymiary, ale i ich wzajemne proporcje. Zalety charakteru były sharmonizowane i dlatego tak wydajne w czyny pełnowartościowe.

Życie i Sztuka stanowiły dla Ruszczyca całość nierozdzielną i to może najbardziej go odróżniało od wielu innych znanych i sławnych artystów. Mówiąc o Ruszczycu, nie potrzeba było oddzielać człowieka od twórcy i mówić o każdym inaczej, gdyż jeden nigdy nie zaprzeczał drugiemu. Puszkinowski wiersz o poecie, który poza chwilami natchnienia jest „najmarniejszem z dzieci świata" nie miałby do Ruszczyca zastosowania. Ruszczyc nie potrzebował ani kupczyć sumieniem dla sztuki, ani też poniżać sztuki więzami obcych jej nakazów. Miał w sztuce i w życiu styl własny wysokiej miary, zarówno artystyczny, jak etyczny. Styl ten był równy i niezawodny w każdej sprawie życia: dawał się streścić w pojęciu ładu i heroizmu. I dlatego mógłby on wcale nie być malarzem, a niemniejby pozostałby człowiekiem pełnym i twórczym.

Wilno JAN BUŁHAK

HOŁD I ŚLUBOWANIE

Oświadczenie złożone imieniem młodego pokolenia przez mgr. Jana Bogdanowicza, na uroczystej Akademii ku czci śp. Romana Dmowskiego w dniu 5 lutego 1939 r. we Lwowie.

PANIE Prezesie!

Za przebudzenie Narodu,

za Ligę Narodową, owo pierwsze po dwustu latach niezależne kierownictwo Narodu polskiego,

za zjednoczenie Narodu poprzez granice dzielnic, stanów i zawodów,

za myśl polityczną i wskazanie nowoczesnych metod i dróg postępowania,

za skierowanie Narodu na szlaki starych wojów piastowskich do Królewca, Gdańska, Bałtyku i prastarych grodziszczy Chrobrego,

za wykrzesanie energii w Narodzie, zdolnej przeciwstawić się zgubnym, samobójczym, zaszczepionym przez wrogów tendencjom,

za nakreślenie Narodowi granic przyszłego państwa, granic umożliwiających i zapewniających wielkość i prawdziwą niezależność Narodowi,

za ocenę sytuacji międzynarodowej i wytyczenie Narodowi drogi niechybnie wiodącej do zjednoczenia ziem i odzyskania własnego państwa,

za uświadomienie Narodu polskiego o niebezpieczeństwie niemieckim i zorganizowanie Go wśród narodów walczących z germańszczyzną,

za przewodnictwo tak w kraju, jak i na terenie narodów świata w czasie światowych zmagań wojennych,

za wystawienie stutysięcznej siły zbrojnej, będącej widomym dowodem istnienia Narodu, wspólnie z innymi walczącego z imperializmem krzyżacko-niemieckim,

za przekonanie rządów narodów świata o konieczności odbudowania naszego Państwa,

za wywalczenie Państwu Polskiemu należnyh Mu terytoriów i granic,

a przedewszystkiem:

za Pomorze,

za Wielkopolskę,

za Śląsk,

za brzegi Bałtyku,

za nieustępliwe stanowisko i bezwzględne trwanie przy Lwowie, Tarnopolu, Stanisławowie i wogóle przy Grodach Czerwieńskich,

za polską myśl polityczną, walącą w gruzy pomysły, w kuźni niemieckiej poczęte, federowania i parcelowania, prastarych ziem Polskich,

za Wilno, Nowogródek, Łuck, Krzemieniec i ziemie kresowe, zjednoczone w jednym niepodzielnem jednolitem Państwie Polskiem,

za odrodzenie sił narodowych polskich w Obozie Polski Wielkiej,

za odkrycie Narodowi tajemnic potęgi i planów żydostwa i walkę wypowiedzianą jemu i jego tajnym, czy jawnym ekspozyturom,

za zapalenie w duszach młodych pokoleń naszego Narodu znicza światła i ciepła, ognia wiary i idealizmu narodowego,

za wyrwanie młodzieży i Narodu z oków materialistycznej niewiary i indyferentyzmu religijnego,

za skierowanie na drogi wiodące do Rzymu i Chrystusa,

za walkę o przywrócenie Narodowi zdrowej i całkowitej struktury gospodarczej i społecznej,

za wyrwanie żydostwu rządu nad duszami warstw robotniczych i ludowych i uczynienie ich świadomą częścią odradzającego się Narodu,

za wychowanie i organizowanie Narodu w szeregach Obozu Narodowego, ze Stronnictwem Narodowem na czele,

za walkę o rząd Narodu w Państwie Polskiem, o Polskę Katolicką przez Naród Polski rządzoną,

za pisma i księgi Twoje, będące tak czynem politycznym naszego Narodu, jak i źródłem na wieki ważnej, w ciągu wieków wydartej a przywróconej naszemu Narodowi — mądrości społeczno-politycznej,

za Twój charakter niezłomny, skromność niespotykaną, zapomnienie siebie i oddanie całkowite Narodowi,

wreszcie za testament Twój, równy testamentowi Chrobrego,

niech Ci Bóg Wszechmocny, Pan Nieba i Ziemi Najmiłosierniejszy i Najmędrszy da szczęśliwość bez końca, da nagrodę wiekuistą oglądania Siebie twarzą w twarz, da towarzystwo Aniołów i Świętych, Wielkich Mężów i Wielkich Duchów!

My zaś, ze swojej strony, uczniowie i żołnierze Twoi, spadkobiercy i dziedzice, w pełni świadomi olbrzymiej odpowiedzialności spoczywającej na barkach i sumieniach naszych, niewypowiedzianie wdzięczni Najwyższemu i Matce Jego Syna za danie Narodowi Polskiemu, w chwilach decydujących, Męża na miarę Bożych planów i zamierzeń, Instrumentu godnego Woli Bożej za pomocą którego odwrócone zostały karty historii i wielkie dokonane zmiany — ślubujemy polskich ideałów narodowych nigdy się nie wyrzec, przy Kościele Katolickim, jako Naród i jednostki, wiernie i czynnie stać i trwać, szlaków piastowskich od Bałtyku poprzez Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk nigdy nie opuścić, do realizacji Polski w granicach wytyczonych przez Ciebie bezwzględnie dążyć, walki o wyzwolenie Narodu Polskiego z pod władztwa żydostwa i jego sprzymierzeńców, aż do zwycięstwa nie zaprzestać, w szeregach stworzonego przez Ciebie Obozu i Organizacji karnie, ofiarnie być i walczyć, Testament Twój z pomocą Bożą zrealizować!

Tam nam dopomóż Boże w Trójcy Świętej Jedyny i Ty Najświętsza Matko Jego!

Lwów JAN BOGDANOWICZ

KANCLERZ

Skąpiono mu zaszczytów do grobowej deski,
więc Roman Dmowski oczom własnym nie dowierzał,
kiedy nadworna jazda w skrzydlatych pancerzach
kłoniła przed nim znaki — w Warszawie Niebieskiej.

Oczom nie wierzył, kiedy na Zamku Królewskim,
w sukni francuskiej z czasów Jana Kazimierza,
Matka Boska wręczała mu pieczęć kanclerza:
orły koronne obok pogoni litewskich.

Gdy Regina Poloniae z wdziękiem i powagą,
— jak Maria Kazimiera za Marią Gonzagą —
powiedziała mu: — „*Couvrez-vous mon chancelier*",

— nie wierzył uszom, ale jakże był szczęśliwy,
że mu się właśnie takie — najjaśniejsze — dziwy
śnią — w dzień jego pogrzebu — w wiekuistym śnie.

S. G.

NA WIDOWNI

Śmierć papieża prawdziwą żałobą. — Rola papiestwa bynajmniej się nie przeżyła. — Duchowy trzon naszej cywilizacji zawsze jest w Rzymie. — Krzyż króluje „miastu i światu“.

OPUSZCZONE do połowy masztu flagi i czarne chorągwie po ulicach bynajmniej nie są jakimś aktem kurtuazji spowodu śmierci władcy państwa watykańskiego, ale oznaczają tę szczerą i niewątpliwą żałobę, jaką zawsze wieść o śmierci papieża wywołuje wszędzie tam, gdzie biją dzwony kościelne i gdzie tętnią prawdziwie katolickie serca.

Jest bowiem i dzisiaj papiestwo największym czynnikiem nadrzędnym nad narodami i rządami, tak jak było nim kiedyś w średniowieczu. Głos z Rzymu zawsze ma swoją wagę i zasadnicze znaczenie. Kiedy umiera, powiedzmy, król Anglji opłakuje go tylko jego naród, a reszta świata ciekawie przygląda się tej żałobie i uroczystościom, bez bólu i bez przejęcia, ograniczając się tylko do bardzo oficjalnych oznak współczucia i grzecznościowej, wymaganej przez protokół żałoby.

Ale tu mamy co innego. Władztwo duchowe nie ma zarysowanych granic i wszystkim każe schylać przed sobą czoła. To nie umiera żaden, król, prezydent, czy dyktator, ale piastun posłannictwa Bożego, „sługa sług Bożych”. Kościół sięga ponad narody i jednoczy je mimo wszystkie ich kłótnie w większą braterską całość. I ta właśnie całość czuje się tą stratą dotknięta, bo to jest jej strata. I w takich chwilach i wydarzeniach, w publicznym rezonansie sumień, w echach encyklik, w głosach opinji — wykazuje się cała realna waga papiestwa w świecie.

I nie może to dziwić. Kościół stał u kolebki naszej cywilizacji i ją zbudował. Całe szacowne poprzednie jej tworzywo — Stary Testament, Hellada i Rzym scementowane zostało w imponującą całość dopiero jego wysiłkiem i jego trudem. Kościół, posiadacz prawdy, był prawdziwym wychowawcą narodów. Badaniu tej jego pracy poświęcił się profesor Koneczny i znakomicie pokazał konkretne fakty: metodę postępowania. I nie byłoby narodów bez prawdziwego człowieka, a tego urabia tylko Kościół. Kościół jeden, jedyny dźwiga jednostkę na wyżyny, przyznając jej nie illuzoryczne bóstwo, źródło bolesnej złudy, ale duszę nieśmiertelną, stworzoną na obraz i podobieństwo Boże. Ta dusza więc w niczem ludzkiem i ziemskiem roztopić się nie może i ponad wszystko jest tu silniejsza. Nie ma też i nie może być nad nią żadnej władzy. Jest ona jak ptak wolna i nieskrępowana i jest wiecznym zasiewem wolności człowieka. Ale równocześnie nikt tak, jak Kościół, nie uczy posłuszeństwa, ciszy i poddania. „Sami siebie za mądrych nie miejcie” powiada Święty Paweł i orlim ludzkim zapędom miarę daje pokora. Pełny człowiek z duszy i ciała stworzony, poszukujący harmonji i dążący do wiecznego rozrostu istnieje tylko w Kościele, pod dobroczynnym władztwem Rzymu. I cywilizacja na nim jedynie może się skutecznie opierać.

Więc, krótko mówiąc — cywilizacja łacińska z Kościoła wyrasta i na Kościele się opiera. W jego rękach spoczywa ten znicz prawdy, który jej wielkość i życie zapewnia. On pilnuje słuszności jej dróg ustami nieomylnego papieża. I chociaż minęła wielkość średniowiecza i świat daleko odbiegł od religijności życia, to jednak ciągle powraca do odwiecznej i ożywczej Kanossy. Wciąż jeszcze, jak od wieków prostego *„non possumus”* nie zdoła przełamać bezsilna w swej rozpaczy przemoc. Z Rzymu po staremu idą w świat orędzia, encykliki i wypowiedzi, czytane nierzadko z trwogą i niepokojem sumień. Przeciwko nim powstaje nieraz nieposłuszeństwo pysznych, szyderstwa i zakazy państw. Ale to słowo, za którem nie stoi brutalna siła zawsze zwycięża i poprzez wszystkie swoje pozorne tryumfy „nieboskiej komedji” naszego świata, zawsze nowoczesny Pankracy zawołać w końcu musi—„Galilejczyku zwyciężyłeś”.

Bo krzyż jest jedyną prawdą świata. Świat dzisiejszy w cząstce tylko jednak może być uważany za katolicki. Płoną kościoły w Meksyku i Hiszpanji, pogrążają się w cichą ruinę w wyludniających się wioskach Francji, lżone są w Niemczech i na muzea bezbożnicze przemieniane w Rosji. Ale jednak tryumfująca herezja sama prawdę rozszerza. To co się nazywa Europą rządzi dziś światem. A w Europie poprzez wszystkie swoje naloty mocno i zasadniczo tkwi jej rdzeń katolicki i chcący czy niechcący wszystkie jej siły sprawom katolicyzmu służą.

Herezja jest odszczepieństwem od prawdy i jako taka cząsteczkę jej zawsze zawiera. To też reformacja i to wszystko co nazywamy wiekiem XIX-tym chociaż bynajmniej nie katolickie i raczej gwieździe, czy trójkątowi, niż Krzyżowi hołdujące—wyznawców swoich przybliżało do Krzyża. Religje postępu i nowoczesności, zarówno, jak religja marksistowska, asymilując do siebie wciągały ludy islamu, czy dalekiej buddyjskiej Azji w świat pojęć Europy, a więc, mimo wszelakie wykolejenia, pojęć krzyża. Zeuropeizowana Turcja ze swoim kodeksem szwajcarskim, opustoszałymi haremami, i z ludnością przemocą ubraną w meloniki i nauczoną wszystko dobre widzieć na zachodzie, bardziej jest podatna na istotne wpływy Rzymu, niż dawna prawdziwie wschodnia i wierna tradycji. I bądź co bądź ten nagły zwrot stanowi jakby pewien nawrót, skoro stepowa Anatolja była ojczyzną całego szeregu ojców kościoła i świętego — będącego symbolem dla rycerstwa średniowiecznej Europy — zawsze porywającego wyobraźnie i serca — pogromcy smoka św. Jerzego. Podobnie też jest z Indiami, które rządy protestanckiej i celowo areligijnej Anglji doprowadziły jednak, chociażby połowicznie do Chrystusa i Ewangelji, cytowanej i recytowanej przez Tagorego i Gandiego. Zgoła ewangelja dziś jest po całym świecie opowiadana i wiek XIX-ty, europeizując wszystko w imię techniki i materializmu, przybliżył światu ten zbawczy Krzyż, od jakiego sam tak nieopatrznie się oddalił.

I dlatego, chociaż przeminęło średniowiecze z jego wiarą i chwałą i dziś rzeczywiście bije w Rzymie serce całego świata i tam się wykuwa nowy, a odwieczny ład — prastarej prawdy, ważnej dla wszystkich narodów. Ręka następcy świętego Piotra, uzbrojona w pierścień rybaka, pewnie i nieustraszenie kieruje łodzią świata. Stamtąd, jak od wieków, od ojca całego chrześcijaństwa płyną słowa nauki, kary, czy błogosławieństwa „miastu i światu”. — Polska, nawiązująca do swych tradycji, chce słuchać tego głosu i iść za nim, jak przed wiekami, „zawsze wierna”.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

„SZKOŁA TRUPÓW"

TĄ SZKOŁĄ, według Ludwika-Ferdynanda Céline'a, jest Europa — rozbita, skłócona wewnętrznie — w szczególności zaś Francja, której „przeznaczeniem" (przez żydów i ich popleczników przysądzonem) — wojna, utrata krwi regularnie co lat kilkadziesiąt, zaprzepaszczanie rasy, samounicestwienie „*à la russe*"...

Światem, Europą, Francją — pisze Céline — rządzi od wielu dziesiątków lat konspiracja judeo-masońska (żydzi naturalni i żydzi „syntetyczni"), której wyrazem politycznem — *coimperium* żydowsko-brytyjskie. „Ośrodek dyspozycyjny" (zewnętrzny) światowej dyktatury judeo-brytyjskiej mieści się w Bank of England Intelligence Service. Kierują Intelligence Servic'em: lord admirał Sinclair, lord Duvean, Sir Mankay, sir Montagu Norman (gubernator Banku Angielskiego).

Lecz pozatem istnieje światowy nad-rząd „wewnętrzny" — ściśle zakonspirowany, złożony z samych tylko czystych, rasowych żydów (bez żydów „sztucznych" t. j. masonów). Stanowią ten nad-rząd: członkowie Najwyższego Kahału, rabini, bankierzy, dysponenci światowych zapasów złota, kierownicy drustów międzynarodowych, przywódcy międzynarodówki rewolucyjnej (jak Kaganowicze, Trocki, Radek i in).

Za pośrednictwem wymienionych zwierzchników Intelligence Service (i Banku Anglii) — żydowski, ukryty nad-rząd kieruje całą polityką światową t. zw. państw „demokratycznych", do których zalicza się również Rosja bolszewicka, czerwona Hiszpania, Meksyk i inne dyktatury lewicowe, masońskie, komunistyczne i bezbożnicze.

Jest rzeczą pewną nieomal — pisze Céline w swej rewelacyjnej książce — że trzy państwa: Francja, Anglia i Sowiety, związane licznemi układami i pozostające w stosunkach przymierza — jerzeli nie otwartego to przynajmniej potencjalnego — będą i nadal zjednoczone w tym celu, by powstrzymać dalszy pochód Hitlera ku Wschodowi.

W danym bowiem momencie dziejowym najważniejszą jest rzeczą — dla interesów żydowskich i związanych z niemi brytyjskich — zniszczenie Hitlera, gdyż byłoby to jednocześnie zniszczeniem Mussoliniego, klęską wszelkich „faszyzmów" i nacjonalizmów. Byłby to koniec antysemityzmu.

„Nadejdzie być może chwila, gdy trzej synowie Izraela (Leslie Hoare Belisha,[1]) Leon Blum i Litwinow), trzej przedstawiciele świętej rasy, stworzą zespół, który wyśle rozjuszonego dyktatora narodowo-socjalistycznego, wielkiego wroga żydów, do tego samego piekła, na które skazał on tylu naszych [2]).

A więc wojna. Nowa okropna wojna, która obali „dyktatorów", pomści żydów, uchroni ich od zagłady i otworzy przed niemi piękne perspektywy na przyszłość w wyniszczonej, zdziesiątkowanej Europie. Tak już bywało nieraz w historii i tak ma być znowu.

To jest właśnie starą, dobrą, wypróbowaną szkołą trupów.

Książka Céline'a rozeszła się we Francji (frontu ludowego) w paruset tysiącach egzemplarzy.

(d)

[1]) Hoare Belisha — pomysłowa transformacja nazwiska jawnie żydowskiego: Horeb Elisha (Elisza). Tak to wyjaśnia Céline.

[2]) (Cytata Céline'a wg. „*The American Hebrew*" za lata 1938).

JESTEŚMY JEDNEJ KRWI

OKOŁO $8^1/_2$ miliona Polaków żyje poza granicami ojczystego państwa. Większość tych ludzi wypędziła z kraju bieda. Na emigrację poszło sporo Polaków energicznych, przedsiębiorczych, przyzwyczajonych do surowego życia i twardej, porządnej pracy. Znana to rzecz, że wychodźtwo polskie dostarcza zagranicy często ludzi wybitnych, którzy, znalazłszy się w odpowiednich warunkach gospodarczych i społecznych, umieją rozwinąć wrodzone zdolności fachowe i organizacyjne. Wielu Polaków, zwłaszcza w Brazylii i Stanach Zjednoczonych zajmuje wybitne stanowiska społeczne i państwowe, odgrywa znaczną rolę w przemyśle i działalności kulturalnej.

Nie mogą oni, na wzór emigrantów niemieckich lub np. angielskich, być pionierami i pośrednikami w ekspansji gospodarczej swej macierzy, bo ta ekspansja jest słaba, a zresztą handlem zagranicznym zajmują się w Polsce głównie żydzi, którzy w biurach tego handlu wszystkie ważniejsze placówki obsadzają współplemieńcami. Do tego doszło, że nawet przedsiębiorstwa o kapitale czysto polskim, organizujące wywóz z kraju, zwykle w swych biurach w Polsce stanowiska dyrektorów i kierowników powierzają żydom. Czyżby żydzi byli w tej pracy niezastąpieni? Raczej nie. Tylko mają swoich ludzi wszędzie. Stanowią sieć pośredników w całym świecie. To wynika z ich rozproszenia, nie zaś z talentów handlowych, o których naiwnym gojom umieją opowiadać cuda z wrodzoną, plemienną bezczelnością.

Więc ci, co są z nami jednej krwi, a znajdują się zagranicą, odsunięci są od jakichkolwiek możliwości zatrudnienia w naszym eksporcie. Toteż służą obcemu państwu, obcemu społeczeństwu.

Mamy zagranicą dobrych i dzielnych fachowców: inżynierów, techników, lekarzy, artystów, przedsiębiorców, rzemieślników. Mamy milionowe rzesze tęgich robotników, którzy obcym, czasem naszym wrogom, budują dobrobyt, za co dla siebie z ledwością na najpodlejszą egzystencję zarabiają.

W każdej warstwie społeczności emigracyjnej zawsze pewien odsetek ludzi z biegiem czasu rozluźnia swe związki z krajem. Jeżeli muszą żyć przez szereg pokoleń, jak rozbitki na wyspie, tworzą w końcu ojcowiznę tam, gdzie siedzą, wiążą się coraz silniej z obcem społeczeństwem. Tym sposobem zmniejsza się naród polski.

Czy niema na to rady?

Czy wystarczą obchody „dnia Polaka zagranicą? Deklamacje? Poezje? Przemówienia na temat „dźwigania Polski wzwyż"? Audycje radiowe dla Polaków zagranicą? Widowiska legionowe *à la* „Gałązka rozmarynu"? Nawet książki i czasopisma i zasiłki pieniężne na podtrzymanie polskości?

Nie. To niewystarczy.

Jest przecież sposób skuteczny, chociaż o tem słówkiem nie wspomniał ani p. Turowski w Radomiu, ani p. Szczurek w Warszawie, ani ks. dr. Machay w Krakowie w dniu 5. II. br. Jeden tylko sędziwy biskup ordynariusz lubelski wypowiedział surowo i otwarcie to, co myśli w tej sprawie olbrzymia większość polskiego społeczeństwa.

Mamy w Polsce bezmała 4 miliony żydów. Od kilku już lat więcej ich przybywa niż wyjeżdża. Trzeba wreszcie rozpocząć skuteczną akcję, zmierzającą do usunięcia tej narodowości z państwa. Społeczeństwo robi w tej sprawie wszystko, co może. Nawet w Niemczech nie było i niema w masach ludności tak zdecydowanej woli, takiego napięcia uczuć, takiego zrozumienia rzeczy, takiej gotowości do ofiar w walce z żydami. Na co czekamy? W czyim interesie leży uporczywe zwlekanie?

Na miejsce usuniętych żydów trzeba sprowadzić Polaków z zagranicy, przedewszystkiem zaś tych, którzy tam żyją w ciężkich warunkach i tych, których energia i doświadczenie przydadzą się w budowie gospodarki polskiej.

(td)

„ŻYDZI NIE ZAPOMNĄ PAPIEŻA"

PROPAGANDA żydowska umie wykorzystać dla siebie nawet i śmierć papieża Piusa XI. Żydzi ślą depesze kondolencyjne, w których przedewszystkiem podnoszą zasługi zmarłego w dziedzinie „obrony ofiar prześladowań rasowych", piszą, że był on „orędownikiem prawa i zwalczał wszelkie teorje rasowe i prześladowania".

Telegramy takie wysłali: dr. Stephen Wiese, w imieniu Światowego Kongresu Żydowskiego; dr. Herzog — naczelny rabin Palestyny, w imieniu żydostwa palestyńskiego; dr. Herz, w imieniu żydostwa angielskiego, oraz w imieniu B'nai B'rith — p. Mouslli, który jest przewodniczącym tej organizacji w Ameryce.

W Polsce obok prasy żydowskiej, która pisze, że „żydzi nigdy nie zapomną Papieża, który walczył o wolność i humanitaryzm", także prasa socjalistyczna usiłuje uczynić Piusa XI — obrońcą „demokracji" i „wolności".

Nahalność żydowsko-socjalistyczna w obrabianiu swoich interesów nad świeżym grobem — jest wstrętna i wskazuje nam jak bardzo podobna jest moralność żydowska do moralności zżydziałych socjalistów.

(Z.)

GŁOS Z AMERYKI

REDAKCJA „Myśli Narodowej" otrzymała z Chicago drukowany na dużym kartonie adres treści następującej:

„Rezolucja żałobna przyjęta na posiedzeniu plenarnem Zarządu Głównego i Dyrekcji Zjednoczenia Polskiego rzymsko-katolickiego w Ameryce dnia 9-go stycznia 1939 roku.

Z Romanem Dmowskim ubyła świetlana postać, która w najcięższych dla narodu polskiego czasach szła przed nim z hasłem: Wszystko dla Polski! Ubył polityczny nauczyciel narodu, który potęgą swego nieustępliwego programu, przekuwał jego ducha i charakter w nowy twór, wielki dumą i przeświadczeniem, że jest wyłącznie polskim. Ubył wielki uczeń Chrystusowy i wielki żołnierz katolicki, którego życie całe było jedną nieustanną gorliwą służbą dla Wiary i Ojczyzny.

Poruszeni ogromną stratą dla polskości i naszej sprawy katolickiej przez śmierć Romana Dmowskiego, Rycerza Marii i Wodza narodowej myśli polskiej, — my, członkowie Zarządu Głównego Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego, wyrażamy narodowi polskiemu, którego zmarły Roman Dmowski był jednym z najlepszych, najgoręcej polskość miłującym synem, słowa najgłębszego współczucia, a Rodzinie zmarłego przedwcześnie najgłębszym żalem dyktowane kondolencje.

Komitet Rozwoju i Rezolucji:

Jan E. Nikliborc, Przewodniczący, Teresa M. Lewandowska Sekretarka, Edmund J. Sadowski, Władysława Duch, Antoni A. Rutkowski, Franciszek S. Barć, Redaktor Naczelny."

Z OBCEGO ŚWIATA

POLITYKA STRUSIA

FASZYZM powiedział Włochom: „Jesteście spadkobiercami starożytnego Rzymu, jego ambicji i potęgi. Musicie więc iść starym szlakiem. Stąd marsz na Afrykę śladami Scypiona, na półwysep bałkański metodą penetracji politycznej, do Hiszpanii, a nawet próby marszu do południowej.. Galiji.

Narodowy — socjalizm powiedział Niemcom: „Jesteście spadkobiercami świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego, a więc spadkobiercami idei niemieckiego systemu Europy, więcej jeszcze — jesteście spadkobiercami zwycięskich Germanów". Stąd dążenie do aneksji wszystkich „niemieckich" krajów. Wypad na Wschód aż po Kłajpedę, na zachód apetyt niezaspokojony na Szwajcarię oraz Alzację i Lotaryngię, stąd na południu tęsknota nieujawniona jeszcze do włoskiego Tyrolu, stąd na północy apetyt nie tylko na Eupen i Malmedy, ale także chęć wkroczenia do Skandynawii.

Nacjonalistyczne wojska generała Franco przypominają Hiszpanom, iż w ich państwie nigdy słońce nie zachodziło, stąd nakaz scementowania krajów półwyspu pirenejskiego, zatarcie różnic etnograficznych oraz różnic wynikających z tradycyj historycznych, stąd zwrócenie oczu na Amerykę łacińską, źródło niepokoju Stanów Zjednoczonych.

To jest obraz rozmachu państw rewolucyj narodowych.

A teraz obraz demokratycznej Francji. Czy go zresztą ukazywać? Zbyt dobrze jest znany. Ale poteoryzujmy: Przypuśćmy, że Francja zdobyła się na rewolucję narodową, na rozniecenie w narodzie ambicji w skali ogromnej. Jakież by były tego objawy?

Przedewszystkiem przypomnianoby sobie, że Francja jest najwierniejszą córą Kościoła. Potem zamajaczyłyby Francuzom wojenne szlaki Napoleona, potem przypomnieliby sobie, że jednak przed laty dwudziestu była ośrodkiem koalicji,

która odniosła pod naczelnem, francuskiem dowództwem zwycięstwo w największej wojnie na przestrzeni dziejów świata, potem przypomniałaby sobie zapewne, że jeszcze przed paru laty istniał w Europie francuski system polityczny, potem... cóż potem? Możeby sobie też uświadomiła, że brytyjskie dominium Kanady, jest, w gruncie rzeczy, francuskie...

A jak jest dzisiaj? P. Daladier zdobył się na akcent w formie przypominającej wielki styl. Rzucił hasło „imperium francuskiego". Przyjrzyjmy się bliżej temu hasłu. Pozornie słowa koturnowe, w rzeczywistości kapitulacja przed dynamiką, agresją: obrona, obrona i obrona. Bronić posiadłości afrykańskich przed Włochami i Niemcami, Indochin przed Japonią, Nicei przed Mussolinim, Alzacji i Lotaryngii przed Hitlerem. Bronić, tylko bronić. Nawewnątrz zaś? Znowu obrona, przed anarchią, rozkładem, strajkiem permanentnym. Czem bronić, ideą? Nie t. zw. „mocną ręką", środkiem na dłuższą metę zawodzącym zupełnie. System francuski Europy środkowej, ekspansja na Bałkany? O tem we Francji nikt już nie odważy się śnić. Taki Dèat w *„Oeuvre"* pisze: „Trzecia Rzesza kieruje się na Wschód, na Polskę, Rumunię, Rosję. My, Francuzi, będziemy mieli spokój!"

Mamy prawo sądzić, że poza skrajną prawicą oraz skrajną... lewicą we Francji podobnie, jak np. Dèat myślą wszyscy. Polityka przysłowiowego strusia chowającego łeb w piasek.

Będą mieli spokój... Czy długo jeszcze?

NAUKA I LITERATURA

W PRZYTYKU I GDZIEINDZIEJ

W DOROBKU powieściowym żydoznawczym książka Rudnickiego [1]) jest może literacko najudatniejsza; jej siła przekonywania bynajmniej nie stoi na poziomie agitacyjnej broszurki. Stąd też mogą ją czytać z gustem i ludzie o wybredniejszem podniebieniu.

Powieść należy do gatunku społeczno-obyczajowych, oczywiście nie pozbawiona pewnego dydaktyzmu. Cenne są charakterystyki określonych rasowo środowisk małomiasteczkowych, dziś na skutek wzmożenia tempa procesów dziejowych, zanikających w miarę postępu unarodowienia polskiej prowincji.

Pewna epickość w malowaniu tła wykracza po za czysto doraźne, publicystyczne cele, zwykłe u autorów powieści tego typu, i świadczy dodatnio o poziomie ambicyj literackich. Tem więcej, że naogół obserwacje odznaczają się dużą bezinteresownością i robione są niejako sztuka dla sztuki.

Tytuł w pełni usprawiedliwiony, gdyż właściwie na przestrzeni całej książki nie widzimy prawie wcale żywiołu rdzennego, polskiego — zato jednostki i rodziny żydowskie. Sztuka pisarza polega na umiejętności zbliżenia tego obcego świata. Dokonywa się to na mocy prawa współczucia w rozumieniu psychologicznem z danem środowiskiem, zatracenia się w niem na czas dokonywania studiów. Taka postawa zapewnia wierność i czystość rysunku podchwyconych w przelocie sylwetek i fizjognomii.

Poznajemy typowe środowisko radykalnej inteligencji warszawskiej, pół na pół a nawet w znaczniejszym jeszcze procencie przemięszanej z żydami. Na tej niwie zakwitają masońskie „akacje", „szarotki" i „słoneczniki". Na tym poziomie wszystko narazie loże niższych stopni, mające za zadanie urabiać opinię przyjazną ideałom wolnomularskim.

Ukrytymi maszynistami są rzecz zrozumiała żydzi. Maskują się zręcznie, używają polskich, z szlachecka brzmiących nazwisk, uprawiają właściwą tuziemcom rolę, nauki dziejów ojczystych, fałszują wieść o nich, głoszoną z szerokozasięgowych katedr uniwersyteckich.

Jednocześnie pilnie strzegą czystości doktryny Izraela, swoistego mesjanizmu imperialistycznego, realizowanego z uporem i bez przerwy. Pod uważną opieką znaleźli się profesorowie uniwersyteccy — Polacy, którzy wleźli nieopacznie za młodu do lóż, zbałamuceni ideowo bądź dla zysku i powodzenia w karierze. Niektórzy wycofali się dość wcześnie („bracia śpiący"), za późno jednak, by zerwać wszystkie kontakty oraz magiczną siłę i urok przysięgi, graniczącej zazwyczaj z *sui generis* transem. Buntujący się mason („martwy liść") zostaje przez „bractwo usłużnych grabarzy" zabity fizycznie lub moralnie przy użyciu wszelkich dozwolonych i niedozwolonych środków i metod. Anegdota powieści sprawdza się w tej dziedzinie wielokrotnie w praktyce życiowej: znane są powszechnie podobne historie i to w niedawnej przeszłości.

Rodzina Złotnickich, żydów o poprawnie polskiem nazwisku, podzieliła między siebie role: jeden Złotnicki jest profesorem historii na uniwersytecie, syn jego przechodzi szkołę myślenia przy pomocy marksowskiego djamatu w komunistycznej jaczejce, brat jest bogatym młynarzem i potentatem handlu zbożowego w Niemrawicach, bliźniaczo podobnych do Przytyku. Mason, komunista i ortodoks — w głębi swej duszy są tylko żydami, posłuszni prawiecznym instynktom i żelaznej dyscyplinie Talmudu. Profesor Złotnicki poczuł tę prawdę podczas modłów w „Katedrze" na Tłomackiem, syn jego wraca na mozaizm, aby odzyskać zaufanie w społeczeństwie żydowskiem, każe się nawet obrzezać. Nie porzucając zresztą oficjalnie chrześcijaństwa, służącego za doskonały szyld w dobie bojkotu dla jego firmy zbożowej.

A w Niemrawicach i im podobnych nic się nie zmieniło od czasów opisywanych w powieści „Lejbe i Sióra" J. U. Niemcewicza. Po dawnemu fanatycznem pospólstwem rządzą kahał i rabin; zresztą i światlejsi żydzi nie wyłamują się spod władzy mądrego „rebe".

Państwo w państwie, z własnem sądownictwem i wymiarem kary dla zdrajców, żywiące zaczerpniętą z Talmudu wzgardę dla „goimów", nie uznające ich prawa własności (stąd np. pradawny na ziemiach polskich wewnętrzny przywilej t. zw. „chazaki") ani wogóle żadnych elementarnych praw ludzkich.

Autor „Listów litewskich" i „Roku 3333 czyli Moszkopolis", uczeń w materiach publicznych i współpracownik Czackiego, projektodawcy zreformowania żydostwa na Sejmie Czteroletnim, bystro dostrzegał anomalię owego nowotworu w żywym organizmie narodowym. W swem sprawozdaniu — opisie geograficznym podróży po ziemiach polskich punktował *ghetto* prowincjonalne żydowskie. Od jego czasów mętny osad nic się do ostatnich czasów nie sklarował. Po dawnemu żyd niepostrzeżenie tkwił na pozycjach z natury rzeczy przynależnych rdzennej ludności.

Dopiero dramatyczna w swym heroizmie postawa chłopa zdaje się zapowiadać przemianę i zmierzch Izraela na polskiej prowincji, odgrywającej w planach światowego rządu żydowskiego rolę rezerwatu płodnej i zdrowej warstwy drobnomieszczan żydowskich, dostarczających kontyngentu politycznego aktywu. Rola żydów na wsi, z chwilą dojścia chłopa do uświadomienia odrębności od egzotycznego intruza, jest na wykończeniu.

Rozumieją to uczciwsze jednostki spośród żydów i emigrują do Palestyny, mającej zresztą odwrócić uwagę od „golusu", u aryjczyków złudzonych nadzieją rychłego uwolnienia się od pasorzyta.

---

[1]) M. Rudnicki. Żydzi. Powieść współczesna. Księgarnia Św. Wojciecha. Str. 391.

Masoneria zaś, kwiat zła, sztucznie wyhodowany w urbanistycznej, inspektowej atmosferze, zwiędnie poprostu w niesprzyjających warunkach, załamie się w środowiskach szczerze religijnych i narodowych, jakby dla potwierdzenia faktu wynaturzenia, jakiemu zawdzięcza swą siłę. Zwalczy ją szczery pacierz i dochowanie przysięgi żołnierskiej na codzień i w krytycznym momencie próby...

St. J.

Z SALI ODCZYTOWEJ

DĄŻENIA KATOLICKIE W TWÓRCZOŚCI ŻEROMSKIEGO

NA OSTATNIM z mających już zasłużoną opinię wieczorów literackich w Domu Katolickim przy ul. Nowogrodzkiej znany poeta Stanisław Miłaszewski mówił— temat wstydliwie zazwyczaj pomijany — o katolicyzmie Stefana Żeromskiego, w prelekcji p. t. „Od Bożyszcza do Smętka". Na podstawie bliższej znajomości nietylko dzieła ale i samego twórcy, wbrew utartej, narzuconej przez koła radykalne, opinii, twierdzi prelegent, że w głębi duszy Żeromski zachował katolickie instynkty — co można wyraźnie dostrzec w jego twórczości. Z domu wyniósł wychowanie w katolicyzmie i głęboką religijność (tak informuje St. Piołun-Noyszewski), przekazaną przez rodziców.

Później owionął go oddech pozytywizmu, ale nie opanował ani na chwilę. Materialistyczne zaprzeczenie istoty Boskiej, podporządkowanie jej logice trzeźwości i siłom przyrody obce było mistycznej naturze pisarza, w tęsknocie metafizycznej dającego nawet ucho mistrzom i tajemnicom ezoteryki, nigdy nie poprzestającego na tem, co się zawiera w ciasnym kręgu wrażeń zmysłowych. Od codziennego, powszedniego katolicyzmu odtrącały go: natężenia wyobraźni i wyładowania temperamentu — drogą przez mózg, skutek wrodzonej słabowitości.

Ludzie tamtych czasów dali Żeromskiemu, już w jego latach studenckich, możność wniknięcia — w istotę ojca zła — szatana, który i tutaj w Polsce uwił sobie gniazdo, uwiódłszy grona ludzi oświeconych, skłóconych z sumieniem i w zaprzeczeniu praw Boskich szukających wsparcia w duchu zła — geniuszu opiekuńczym sekt odszczepieńczych i ciemnych praktyk. Walka z szatanem, stopniowo coraz doskonalej uświadomiana, jako przewodni motyw w twórczości Żeromskiego, jest świadectwem katolickich instynktów, buntujących się przeciw gnębiącemu uciskowi zła metafizycznego, którego widzenie przeraźliwie jasne uzbroiło najwewnętrzniejszą istotę tego zabłąkanego ale nie zgubionego dziecka Kościoła.

W „Róży" widzimy pierwszy etap walki z szatanem, który tam przywdział tajemniczy kształt Bożyszcza, tragicznego w wewnętrznem, dualistycznem rozdarciu, potęgującego u jednych swym demonicznym wpływem wolę i śmiałość zła, u drugich — dobra. Bożyszcze to nie wyraźny jeszcze bóg zła i przemocy — raczej duch sprzeciwu, podszept buntu, sprzymierzeniec ciemnych sił, drążących zdrowy pień narodowego drzewa.

Ileż intuicji i znajomości okrutnej prawdy tkwiło w takiem spojrzeniu na znane wypadki historyczne, kiedy to plany, mające obalić politykę rozumu i instynktu samozachowawczego narodu, powstawały w tajnych podziemiach sekty, wiążącej wiernopoddańczo powolne narzędzia ludzkie urokiem rytualnej przysięgi... Ileż dusz, wysoko mierzących swe loty, zatracił złowrogi duch, uwiódłszy je maską boskiego, ponadziemskiego wtajemniczenia.

Prometeizm, zresztą nie tyle poświęcenia i miłości, co raczej pychy rozumu i buntu, jest także w pewnej mierze symbolem dążeń wieku reakcji zatajonego poganizmu, z jego mistyką krwi i ciała.

W miarę zagłębiania się w tekst „Róży" dostrzegamy antyczne pochodzenie Bożyszcza (dajmonion). Czapka — frygijka na jego głowie to symbol wschodniego bóstwa Mitry, (którego czcicielem był między innymi taki np. Rudyard Kipling), wyklęty przez Kościół symbol zakonów mitraickich. (ob. *cit.*, str. 26, 29 „..ja, zamaskowany gniew..."), Bożyszcze szerzy zło, choć go nienawidzi i czeka na kiełkowanie kiedyś dobra. Jest w tem echo skrajnych sekt gnostyckich, dążących do dobra przez nurzanie się w złu.

Jak więc widzimy, na pozytywizm nie starczyło miejsca w duszy Żeromskiego, bez reszty pochłoniętego wewnętrzną walką o zbawienie własnej duszy i duszy narodu. Czarowic w Cytadeli oczyma duszy ogląda upragniony obraz — wspomnienie watykańskiego fresku Rafaela, wyprowadzenie św. Piotra przez anioła z więzienia: symbol chrześcijańskiego braterstwa człowieka z aniołem. Marzy się Żeromskiemu Polska braterstwa chrześcijańskiego, która — oby kiedyś wyszła ze swego więzienia wespół ze swym aniołem, aby zstąpić do niezmierzonych Boskich prac. Tak na siedem lat przed wojną światową widział rolę Polski w *universum* chrześcijańskiem autor, któremu jakże monopolistycznie krzywdzącą opinię wyrobiła krytyka mafijna.

W „Wietrze od morza" Żeromski wyzbył się już wątpliwości co do istnienia zła metafizycznego, rozpoznał szatana, stwierdziwszy niewątpliwą jego obecność w Smętku, błąkającym się po wydmach nadmorskich, pełnym nietylko wrogości dla Bożych stworzeń ale i niekatolickiego smutku. W tym samym jednocześnie utworze dał najpiękniejszą w literaturze światowej wizję Chrystusa Eucharystycznego, w intuicyjnem wyczuciu najwyższej ekstazy świętego (Wojciecha).

W tem miejscu polemizuje sen. Miłaszewski z prof. K. Górskim, który sprowadza katolicyzm Żeromskiego do elementarnego nastroju w duszy katechumena. Inna rzecz, że wiara w Boga i nieśmiertelność duszy, znajomość sprężyn wewnętrznych świętości, ekstazy w stanie łaski — nie szły w danym wypadku w parze z praktyką religijną dnia codziennego. Duma buntowała się przeciw karności szarego, zwyczajnego katolicyzmu.

Nagłe olśnienie łaski, tak typowe dla natury Żeromskiego, znajdujemy już w „Róży", gdzie są też niemal wszystkie składniki późniejszej twórczości. Wtedy jeszcze autor (Czarowic) miast upragnionego kielicha, jaki otrzymał św. Piotr z rąk anioła, dostał pienisty napój, zaprawiony narkotykiem demonizmu, dumy i namiętności, z rąk Bożyszcza. ...Wówczas, gdy on to marzył o chlebie anielskim. Wtedy to po raz pierwszy uznał za główną cechę szatana, nie siłę w pierwszym rzędzie lecz smutek.

W „Róży" padają raz pierwszy imiona: Graffiacane i Calcabrina. Nikt nie zwrócił dotychczas uwagi na diaboliczny rodowód tych obco brzmiących imion. W 21-ej pieśni swego „Piekła" Dante nazywa takie właśnie dwa diabły: Graffiacane (Psi pazur) i Calcabrina (Tłumirosa). A więc podkład diabelski w rewolucji 1905 r. jasno widzi Żeromski, skoro inspiratorowi — Bożyszczu każe wzywać pomocy wyżej wymienionych szatanów. W późniejszym znacznie „Wietrze od morza" Graffiacane — Smętek, autor zbrodni popełnionej na św. Wojciechu, sprawia rzeź Słowian pomorskich w Gmewe pod Gdańskiem. Jemu to hołd oddaje Krzyżak, potomek duchowy Templariuszy, rozpędzonych za satanizm przez mądrego Filipa Pięknego na cztery wiatry. (Nie zaco innego przecież, jak za cześć oddawaną Baphometowi został najsłuszniej na świecie spalony na stosie Jakub de Molay, wielokrotnie potem pomszczony przez pokolenie wyznawców anti-Kościoła na głowach Pomazańców Bożych).

Smętek jakże podobnych używa chwytów co Bożyszcze, równie się maskuje (jako przewoźnik św. Wojciecha, zdradnie wiodący go w gęstwę najdzikszych plemion pogańskich, czczących ofiarę z krwi). Podobnie też stara się usidlać jednostki i grupy społeczne lub narody. (Żeromski około r. 1921 wierzył jeszcze, że Smętek wyemigruje do Anglii, siedliska ciemnych kultów).

Na przestrzeni lat, od czasów Bożyszcza, autor „Wiatru od morza" inaczej zgoła patrzył na nieprzyjaciela rodu ludzkiego, w miarę, jak stopniowo wracał do wiary lat dziecięcych. Jednocześnie coraz doskonalszą, ojcowską miłością obejmował naród i jego sprawy. (Już w postaci Judyma z „Ludzi bezdomnych" dał ideał celibatu świeckiego, nałożonego sobie dobrowolnie poto, by być ojcem wszystkich sierot we własnem społeczeństwie).

W dyskusji p. J. Dobraczyński podniósł jako zasadniczą cechę psychiki Żeromskiego katolickie poczucie odpowiedzialności za popełnione winy („Turoń", będący rehabilitacją „Popiołów"; „Ponad śnieg..."). Pozatem — mało który pisarz potrafił tak odczuć wielkość poświęcenia i ofiary, tak wysoko wznieść ideał bezkompromisowości.

Jednak cechą prawdziwie katolickiego pisarza jest ciągły stan łaski: podświadome kojarzenie rzeczy napozór sprzecznych, których logika chłodnego rozumu nie jest w stanie zespolić. To, co nazywamy niekiedy czującem wiedzeniem. Tymczasem wewnętrzna istota Żeromskiego rozdarta była w sprzecznem działaniu.

Na marginesie zauważmy, że u źródła polskiej twórczości i działania, polityki, literatury i całej kultury — tkwi instynkt walki z szatanem, który (*inimicus*) jest nieprzyjacielem Chrystusa, jak w równej mierze i Polski, pobudowanej na kościelnych fundamentach. W tem poczuciu instynkt Wielkiego Polityka polskiego ostatniej doby nie zezwolił na rozdwojenie jaźni narodowej: na to, co jest polskie — i na to, co katolickie..

St. J.

Z TEATRU

NORWID, RITTNER I... CZECHOWICZ

Trzy jednoaktówki w Teatrze Nowym. K. C. Norwid: „Miłość czysta u kąpieli morskich"; Tadeusz Rittner: „Odwiedziny o zmroku"; Józef Czechowicz: „Czasu jutrzennego". Inscenizacja Wiliama Horzycy, reżyseria Al. Zelwerowicza, dekoracje A. Pronaszki, muzyka H. Gadomskiego.

WARTO iść do Teatru Nowego na wieczór jednoaktówek — ze względu na utwór Norwida. Ażeby jednak w pełni odczuć piękno „Miłości czystej", trzeba zrozumieć myśli tego utworu, bo Norwid jest poetą myśli, poetą wyrafinowanej intelektualnie idei. Ażeby rozgryźć zawiłości sensu i doznać rozkoszy obcowania z dowcipem filozoficzno-poetyckim najwyższej klasy, trzeba przedtem wziąć pisma Norwida i przestudiować gruntownie „Miłość czystą".

Co oznacza, jaką ideę reprezentuje kochanek nieszczęśliwy, żyjący w krainie złudzeń, zrozpaczony, deklamujący o swej śmierci w morzu? Co wyobraża pani z wachlarzem? Jaką ideę wypowiada postać kochanka szczęśliwego i jego partnerki? Jak przechodzą przez próbę życia te skrzyżowane w jednym konflikcie życiowym, przeglądające się w głębinach bytu (oceanu) ucieleśnione myśli i metody apercepcji? Oto pytania, które nurtują duszę widza, zwłaszcza jeżeli ten widz lubi bezinteresownie myśleć, rozmiłowany jest w humaniorach, w „filozofii życiowej", w literackości. No — i jeżeli ma jakie takie pojęcie o Norwidzie. „Miłość czysta u kąpieli morskich" zapładnia bardzo silnie literackie umysły, nasuwa szereg zagadnień — tak co do interpretacji treści utworu Norwida, jak i co do słuszności jego poglądów.

Pozwolimy sobie podać próbkę hypotetycznych komentarzy do tej komedii.

„Kąpiele morskie" symbolizują filozoficzny punkt widzenia; chodzi tu o miłość, zetkniętą z głębinami istnienia, o zagadnienie miłości w świetle zagadek bytu. Na tem tle rozgrywa się konflikt między postawą racjonalisty a elementem irracjonalnym życia. Narzeczony, który ma za chwilę odjechać statkiem, życie własne i swej przyszłej żony chce ująć w system, chce wogóle we wszystkiem zaprowadzić porządek, sprawiedliwość, ład prawny. Jest też opanowany, chłodny, rozsądny. Jego racjonalny system płynie z egoizmu, jest usiłowaniem narzucenia życiu swoich konsekwentnie rozwiniętych zasad. Zdawałoby się, że tej logice odpowiada ontologia, że życie rozwija się według zdrowego rozsądku. Tymczasem nasz racjonalista przewidział wszystko, prócz ...zaburzeń w przyrodzie. Pasażer był punktualny, ale okręt się spóźnił z powodu burzy i podróż trzeba odłożyć. A konflikt z narzeczoną? Ona czuje, że syn, jeśli go mieć będzie, będzie jej synem. Narzeczony mocno oponuje; syn będzie nosił jego nazwisko, prawnie będzie należał do niego. Tak, czy owak, w rezultacie rozstrzygają w życiu siły irracjonalne, które kobieta wyczuwa bodaj lepiej, niż mężczyzna.

Obsadę aktorską stanowią: Lubieńska, Wasiutyńska Roland, Łuszczewski. Grano dobrze, z wydobyciem całej finezji retorycznej, zawartej w tekście. Dopiero w inscenizacji i w recytacjach artystów można poznać przedziwny urok, niezmiernie oryginalne i subtelne piękno języka i wiersza Norwidowego.

Komedia Rittnera nie powinna być wystawiona zaraz po Norwidzie. Chyba, że dano ją — dla odetchnięcia publiczności. Rzecz jest niesmaczna, brzydota moralna sytuacji nie jest okupiona sztuką, nie jest uzasadniona koncepcją artystyczną, raczej podkreślona płycizną nastrojową. Główne role objęli tutaj Lindorfówna, jedna z niewielu w Polsce artystek, które mają naprawdę teatralną wymowę i dykcję, oraz Chodecki. Pozatem widzieliśmy Michalską i Chmurkowskiego.

Wizję dramatyczną „Czasu jutrzennego" Czechowicza musimy uznać za debiut nieudany. Temat jest piękny, myśl zdrowa, ale ujęcie literacko-dramatyczne jest słabe, nie imponuje ani opracowaniem ważniejszych fragmentów, ani ogólnym poziomem. Forma jest złą stroną „Czasu jutrzennego". Brak oryginalnej inwencji twórczej. Naśladowanie metody Wyspiańskiego, polegającej na mieszaniu nadprzyrodzoności i fantazji z realnemi scenami. Ale u Wyspiańskiego jest takie napięcie moralnej treści, taki patos, że wizja fantastyczna jest u niego harmonijnym dopełnieniem akcji realistycznej. U Czechowicza robi się, mówiąc z czeska, *diwadlo narodne*. Technika perseweracyjna święci tu swoją ..nudę. Ta sama idea jest przedstawiona trzy razy, raz w obrazach szklanej kuli w rękach śmiejących się diabłów, drugi raz w scenie z wojskiem, (fragment surowy, suchy, melodramatyczny), trzeci wreszcie raz w widzeniu Marii.

Czechowicz dał składkę na żydów i w „Naszym Przeglądzie ostentacyjnie to ogłosił. Wkrótce potem dostał posadę w Radio i wystawiono jego jednoaktówkę w „Nowym".

W głównej roli wystąpili T. Białoszczyński i Tamara Pasławska. Grali z uczuciem aktorów, marnujących się na martwo napisanych rolach.

T. D.

NOWE KSIĄŻKI

Czartoryscy. Trzydzieści sześć życiorysów (z portretami. Praca zbiorowa). Kraków 1938. Str. 251 i tabl. geneal.

Iszkowski Roman. O motywach walki orężnej w literaturze. Warsz. 1939. M. Arct. Str. 63.

Dygasiński Adolf. Pisma. T. 24. As. Warsz. 1934. Inst. Wyd. „Bibl. Polska".

Iwaszkiewicz Jarosław. Dwa opowiadania. Warsz. Gebethner i Wolff.

Kolbuszewski Stan. dr. Polska a Czechy. Zarys zagadnień kulturalnych. Poznań 1938. Nacz. Inst. Akcji Kat. Str. 184.

Pesta Mieczysław. Piaski. Pamiętnik lekarza społecznego. Warsz. 1939. „Rój".

Wojciechowski Zygmunt. Pełnia racji ideowej podstawą zjednoczenia. Poznań 1939. „Awangarda". Str. 160.

POKŁOSIE

RATUNEK W MARZENIU

Cechą wspólną wszystkich żargonów ulicznych jest tworzenie wyrażeń jaknajbardziej dosadnych. Najczęściej poprostu przez strywializowanie terminów ogólnie przyjętych. Salon na pierwszem piętrze kamienicy powie: „wydęta wielkość", a słowa te, zaledwie dostaną bruku ulicy, zamienią się na „dętą wielkość". Mała, zda się, różnica, ale tylko pozornie. Określenie „dęta wielkość" ma smak specyficznego wyrazu. Wytłumaczmy to przykładowo — „dętą" wielkością jest taki Jerzy Herbert Wells, którego twórczość mierzy się nie na tomy ale na funty. Myślę w tej chwili oczywiście o funtach Banku Angielskiego. Tu zgoda z założeniem materialistycznem pisarza najzupełniejsza.

Otóż ów J. H. Wells ogłosił w „*News Chronicle*" artykuł, który—jakżeby inaczej — poruszył całą opinię świata. Artykuł zawiera oczywiście przewidywania, specjalność autora odznaczającego się zazwyczaj rozbrajającą naiwnością. Zanim przystąpimy do skreślenia wywodów, powiemy, dlaczego sprawie tej tak stosunkowo wiele poświęcamy miejsca. Otóż pominąwszy owe „przewidywania" naiwne, artykuł, o którym mowa, wydaje się mi artykułem dla tendencji brytyjskich t. zw. „kół demokratycznych" reprezentatywnym. Ukazuje marzenia każdego socjalisty angielskiego (i nie tylko angielskiego), pieszczone w duszy skrycie, albo wypowiadane językiem niezręcznym. Wells „strachy na Chamberlaina" opisał, bądź co bądź, z talentem i swadą. Swada, coprawda, zalatuje na milę (tę naszą, dłuższą od angielskiej) demagogią politycznego meetingu w Hyde — parku, no ale jako to już jest manierka radykalna, na zmianę której nie będziemy się bynajmniej silili.

Tezą naczelną wywodów wellsowskich jest zarzut uczyniony „panu z parasolem", Chamberlainowi, że w Monachium ocalił III-cią Rzeszę, rządzoną przez trójkę apokaliptycznych bestyj: Hitlera, Goeringa oraz Goebbelsa, ogarniętych „manią morderczą". „Chamberlaniści — pisze — nie chcieli nawet ryzyka wojny z rasistowską Rzeszą — nie dlatego, by sądzili, że Hitler wyjdzie z niej zwycięsko, ale naodwrót, dlatego, że byli pewni, że Hitler wskutek tego upadnie".

„Epoka", na podstawie której entuzjastycznej relacji („Wielki pisarz o roku 1939") i tłumaczeń wells'owych słów piszemy niniejsze zdania, przytacza tu osobliwe zupełnie wywody angielskiego fantasty:

> „Wielka Brytania wyszłaby z tej wojny gniewna obolała i oburzona, na geszefciarstwo tych, co zbierali zyski wojenne, na nieudolność tych, którzy byli odpowiedzialni za, ujawnioną w pełni, złą organizację jej sił zbrojnych. Francja także wyszłaby z tej wojny przebudzona i gniewna. Pozostawalibyśmy, niechętnie, w sojuszu z Rosją, w której, w każdym razie, życie finansowe jest zależne od państwa. Uwolnione Niemcy byłyby również wyraźne rewolucyjną potęgą".
>
> „Panowie z City i londyńskiego Westendu, dotąd skrajni imperialiści, stanęliby wobec alternatywy: albo nędzny, haniebny pokój, albo niebezpieczeństwo światowej przebudowy społecznej. Nie wahali się oni ani chwili. W bezwstydny sposób poświęcili honor narodu i przyszłość świata obronie swych własnych interesów".

Chamberlain oczywiście jest „zaufanym" banku Lazare Frères i o dobro tego banku chodzi mu przedewszystkiem. Wielka Brytania? Ależ, ależ!... Takie uproszczenie rozumowania jest symptomatyczne dla sposobu myślenia marksistowskiego. Przykłada się probierz marksistowskiego talmudu i najbardziej nawet skomplikowane zjawiska stają się jasne. I dlatego uratował „zachwianą" pozycję *regime*'u narodowo-socjalistycznego w Niemczech.

Jakoś to dziwne, niesłychanie dziwne, gdy stary Chamberlain, krew z krwi i kość z kości Anglik, wnuk wielkiego Chamberlaina z czasów królowej Wiktorii, przedstawiony jest poprostu jako zdrajca imperium, które tworzył jego dziadek, podczas gdy dla „demokracji" całego świata najgodniejszym przedstawicielem brytyjskiego patriotyzmu staje się żyd Hoare Belisha (angielska wersja popularnego nazwiska Bejlis).

Belisha parł do wojny, a Wells rozdziera szaty nad tem, że wojny nie było. Wells, on, pacyfista Nr. 1-szy, autor naiwnej powieści ukazującej przyszłą wojnę jako zagładę, cywilizacji wogóle, w której wszystko zostanie zniszczone, ludność wybita w pień, a po ruinach włóczyć się będzie zwycięzca, wódz triumfator napoły zdziczały, przybrany w zwierzęcą skórę. Zniszczony świat uratują jacyś nadludzcy rycerze powietrza, którzy zjadą na wspaniałych aeroplanach it.d. Wells nie wyszedł jeszcze z tego okresu, gdy człowiek stał z otwartą gębą, dziwiąc się maszynie parowej, gazowej latarni, elektrycznemu tramwajowi. To też i teraz zapowiada rozwój lotnictwa (na pociechę). Oprócz rozwoju lotnictwa brytyjski fantasta przepowiada wzrost radykalizmu w Anglii, co doprowadzi już w połowie roku 1939-go do zmiany systemu politycznego, przyczem ustąpienie obecnego rządu będzie tylko stanowiło cząstkę tej zmiany.

Radykalne rządy Angli, Francji i Stanów Zjednoczonych rozprawią się oczywiście z generałem Franco.

Nie będziemy się dłużej zajmowali wywodami autora niepoważnej, naiwnej, dyletanckiej „Historii świata". Jeśli użyczyliśmy mu aż tyle miejsca na łamach naszego pisma, to po to jedynie, ażeby wykazać, na jakie drogi rozwoju radykalizm chciałby wpakować czemprędzej brytyjskie imperium. Oczywiście są to tylko marzenia, ale jakże znamienne, że zamierający świat masoński w marzeniu już musi szukać dla siebie radości.

J. B.

NA MARGINESIE

Czoło laureata „Nagrody Młodych" Polskiej Akademii Literatury, p. Jerzego Andrzejewskiego uwieńczone zostało nowym wawrzynem. Oto przyznano mu nagrodę czytelników „Wiadomości Literackich" w sumie zł. 500.

Widzimy, że 20 złotych, złożone na rzecz żydów z Niemiec do Polski przybyłych, procentują w zadziwiająco szybki sposób... Inni literaci, którzy również złożyli t. zw. „humanitarne datki", są podobno mocno poruszeni:

— Jakto, czyżby nasze dwudziestozłotówki były gorsze?

— Cierpliwości... — odpowiada im „północna dzielnica".

Ale oni się niecierpliwią. No, bo czas pracuje wyraźnie przeciw nim. A nuż procent będzie minimalny, albo przybierze niepokojące formy?

*

W jednej z podwarszawskich miejscowości mieszka ambasador pewnego mocarstwa, które choć nie ma „ligi mocarstwowej", jest mocarstwem prawdziwem i trzęsie dosłownie połową globu. I oto ambasador ten jeździ zwykle do stolicy kolejką a nie autobusem, z tej racji, że bilet na kolejce jest o dwadzieścia groszy tańszy.

Nasuwa się zapytanie: czy dlatego mocarstwo to jest prawdziwem mocarstwem, że ma takich ambasadorów, czy dlatego ambasador tego mocarstwa jest takim ambasadorem, że jest ambasadorem prawdziwego mocarstwa?

*

Żydzi skarżą się, że Polacy pikietują ich sklepy, przestrzegając publiczność polską przed kupowaniem u żydów. Wielka rzecz — niech żydzi zaczną pikietować sklepy polskie i niech przestrzegają swoich współziomków, żeby nie wchodzili do sklepów chrześcijańskich. Oko za oko.

TREŚĆ: Po zgonie Papieża *T. Dworaka.* — Sejm i demokracja *J. Ba.* — Dokoła Worcella *B. Winiarskiego.* — Jakim był Ruszczyc *J. Bułhaka.* — Hołd i ślubowanie *J. Bogdanowicza.* — Kanclerz *S. G.* — Na widowni *K. S. Frycza.* — Głosy (*d*), (*td*) i (*Z.*). — Z obcego świata. — Nauka i literatura *St. J.* — Z sali odczytowej *St. J.* — Z teatru *T. D.* — Nowe książki. — Pokłosie *J. B.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.